CENA 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK V. NR 34/218

LONDYN, NIEDZIELA 26 SIERPNIA 1951 R.

APTEKA GRABOWSKIEGO
187, DRAYCOTT AVE, LONDON, S.W.3.
Tel. KEN 6583.
wysyła wszelkie lekarstwa do Polski
Najtaniej jest wysyłać
P.A.S. w proszku a nie w tabletkach
500 gr. kosztuje tylko £.3.0.0.
500 tab. P.A.S. — £ .1.15.0
3 miliony j: PENICYLINY — £.1. 3.6

KAZANIA
O NIEPOKALANYM SERCU MARII
Opracowane przez XX. Tow. Jezus.
Warszawa 1946
Str. 154
Cena 8/-, z przesyłką 8/6
Do nabycia w VERITAS F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W. 2.

TECHNIKA NIENAWIŚCI

NIEDŁUGO po rewolucji V. Stepanow, interpretator Marxa, pisał:

„Potrzebujemy zdecydowanej walki przeciw duchownemu, czy jest on nazywany pastorem, opatem, rabinem, patriarchą, mułłą, czy papieżem. W pewnym stadium walka ta musi przejść w walkę przeciw Bogu, czy by się nazywał Jehowa, Jezus, Budda czy Allah."

Przed pewnym czasem ukazała się w języku angielskim w Londynie książka pt. „Through God's underground" — „PRZEZ BOŻE PODZIEMIE". Książka należy do najciekawszych pozycji, które w ostatnich latach ukazały się na tematy sowieckie. (Hollis and Carter, Londyn).

Autor zachowuje anonimowość; nie uwidacznia na karcie tytułowej nazwiska. Pochodzi z Jugosławii. Jest księdzem katolickim. Losy wojenne rzucają nim po całej Europie południowej. W czasie okupacji niemieckiej musi uchodzić z kraju, naraziwszy się swoją pracą okupantowi. Szuka schronienia w Słowacji, gdzie znowu jest w konspiracji, organizując koła katolickie do walki z wrogiem.

Pod koniec wojny oddziały partyzanckie zostają opanowane przez armię sowiecką, z którą razem walczą dalej przeciw Niemcom. Autor zakonspirował się. Niewielu wie, że jest księdzem katolickim. Później zostaje przeniesiony do innych formacji. Nikt już nie zna jego właściwego zawodu. Jest jednym z partyzantów walczących pod komendą sowiecką, ubrany w sowiecki mundur wojskowy.

Razem ze swoim oddziałem bierze udział w końcowych fazach wojny na froncie południowo-wschodnim. W pewnej chwili staje przed nim okazja wyjazdu z konwojem do Sowietów. Jedzie przez dużą część Rosji zatrzymując się w wielu miejscowościach. Stawiał sobie zadanie zrozumienia Rosji sowieckiej. Ze zdumieniem i radością odkrywa, że pod powierzchnią życia spętanego terrorem istnieje w Rosji „Boże podziemie", głód Boga i pragnienie dochowania Mu wierności. Tej konspiracji religijnej poświęca najciekawsze strony książki.

Po powrocie z Rosji przybywa znowu do Czechosłowacji i tu powija mu się noga. Zostaje aresztowany, przesłuchiwany, sądzony.

Z książki tej wyjmujemy dwa fragmenty, te mianowicie, które mówią o taktyce komunistycznej w stosunku do religii katolickiej w krajach zagarniętych przez Sowiety. Są to fragmenty autentycznych rozmów, jednej, w czasie której rozmówca nie wiedział komu się zwierza, i drugiej, kiedy enkawudzista sądził, iż rozmówca nie wyjdzie żywy z więzienia. Materiał więc obiektywny i z pierwszej ręki. Rzuca jaskrawe światło na metody komunistyczne w krajach okupowanych, na plany walki z Kościołem i rolę w niej kamuflażu i podstępu. **Red.**

W MUNDURZE PARTYZANTA

„Było to daleko na północy, w czasie jednego z najbardziej ciężkich okresów zimna w ciągu wojny. Wiatr napędzał łzy do naszych oczu i ciął ostro przez nasze płaszcze, smagając ciało niby rzemieniami. Wizytujący rosyjski komendant i ja byliśmy w drodze na rozmowę z komenderującym generałem tego okręgu; mieliśmy omówić dostawy środków lekarskich i lepsze warunki sanitarne, jeśli zdrowie partyzantów miało być zachowane. Z trudnością otrzymaliśmy zgodę na spotkanie. Komendant był w dobrym humorze. Nie miałem, jak dotąd, sposobności do wysondowania jego poglądów politycznych. A nie był to w tej chwili czas, w środku zimowej zamieci, zaczynać sondowanie.

Nasza źle wytyczona droga wreszcie się skończyła na posterunku komendy z powiewającym nad nim młotem i sierpem. Młody wartownik, którego głowa przykryta była futrzaną czapą, przedmiotem mojej zazdrości, skierował nas — ni mniej ni więcej — do pobliskiego klasztoru. Znajdowaliśmy się teraz na terytorium polskim; niektórzy zakonnicy zostali usunięci a ich miejsce zajęli rosyjscy oficerowie. Generał, o którego nam chodziło, mógł być w tej części gmachu.

Zbliżyliśmy się do klasztoru. Gdyśmy się zapytali o generała, zostaliśmy wprowadzeni zamiast do niego, do przeora. Pozdrowił nas uprzejmie i dał nam po małym kieliszku wina.

— Jesteście tu mile widziani — powiedział przeor.

Wiedział, że co najmniej jeden z nas był oficerem czerwonej armii. Zaczął podnosić uprzejmość, której doznał od rosyjskiego generała. Żołnierze sowieccy, mówił, nie zakłócali spokoju tym kilku zakonnikom, którym pozwolono zostać. Gdy nadeszła Wielka Sobota, generał nie tylko pozwolił na zwykłą procesję przez miasto, ale nawet kazał powiedzieć, iż spodziewa się, że mieszkańcy miasteczka wezmą w niej udział.

Byłem niesłychanie tym zainteresowany: czyż byśmy natrafili na wypadek szeroko reklamowanej sowieckiej tolerancji wobec religii? Czy była to tolerancja prawdziwa? Czy też był ten generał „podziemnym chrześcijaninem"? A jeśli tak, to był człowiekiem bardzo odważnym.

Opuściliśmy przeora i w końcu znaleźliśmy generała w refektarzu. Był to tęgi, krwisty mężczyzna lat około czterdziestu pięciu. Pozdrowił nas jak towarzyszy, otworzył butelkę wódki, poczęstował papierosami. Gdyśmy przedyskutowali nasze wojskowe sprawy, zmusił nas do zostania i zjedzenia razem z nim posiłku. Była to niezwykła uczta: olbrzymie kiełbasy, pływające w jeziorze tłuszczu, zielone jarzyny! Nie byliśmy przyzwyczajeni do takiego luksusu. Po kolacji siedliśmy naokoło staromodnego pieca z cegieł i rozmawialiśmy.

Generał miał za zadanie spacyfikowanie tego całego regionu i przeorganizowanie go od ewentualnego włączenia do ZSSR: jego rodzaj pracy odpowiadał alianckiemu zarządowi wojskowemu na zachodnim froncie. Człowiek ten traktował nas obydwóch, przybyłych z doskonałymi poleceniami, jako członków partii.

Generał mówił do nas zupełnie otwarcie jak towarzysz marksista. Przynaglał do najpilniejszego obowiązku doglądania, aby partia była dobrze organizowana w każdej najmniejszej wioszczynie, przez którą armia przechodziła. Musimy doglądać, aby małe miasta miały „otwarty ośrodek" bojowych członków partii, którzy byliby zdolni do prowadzenia spraw politycznych odcinka, albo otwarcie, albo spoza sceny. Było szczególnie nieodzowną rzeczą, — mówił, — żebyśmy skontaktowali się z godnymi zaufania członkami partii w okręgach, w których byli „mienszewicy" albo socjaliści, i spowodowali przez ich zlikwidowanie, jeśli potrzeba, żeby ci ludzie nie byli w stanie zdobyć później władzy. Obecność armii czerwonej może w sposób olbrzymi pomóc nam w tym ważnym zadaniu ustanawiania na trwałe lokalnych przywódców komunistycznych.

— Co do religii — rzekł generał, paląc papierosa i pociągając łyk ostrej wódki polskiej — nie przejmujcie się, przyjaciele, na widok tego, że zakonnicy ciągle tu mieszkają. My wiemy, co robimy. Myśmy wcale nie zapomnieli, że istnieje krańcowy, nieprzejednany spór między religią a naszym państwem. Dialektyczny materializm nie może nigdy dojść do ułożenia stosunków z chrześcijaństwem. Nie było nigdy prawdziwego komunisty, który by nie był również ateistą, i nigdy takiego nie będzie. Nie powinniśmy o tym zapominać.

— Problem ten jednak w chwili obecnej jest problemem specjalnym. Opanowujemy obecnie pewną liczbę krajów katolickich, takich jak Polska. Ich zacofani ludzie ciągle lgną do swej religii: jeśli zaatakujemy ją otwarcie, nigdy nie będą słuchali naszej propagandy. To jest absurdalne, ale to jest prawdą.

— Nie. Naszym najmądrzejszym sposobem — a został on zdecydowany na bardzo wysokich szczeblach w Moskwie — jest rozbroić pierwszą opozycję tych ludzi przez widoczną zmianę twarzy. Musimy dać im uwierzyć, że polityka się zmieniła, że wolność religijna jest polityką ZSSR. Dałem dokładne rozkazy mym ludziom, że nie mają niszczyć tutaj kościołów, ani nawet niepokoić zakonników w tym skrzydle, które zostawiliśmy im na mieszkanie. My ich tu c h c e m y, jako dowód dla ludności polskiej, że nie jesteśmy antyreligijni.

— Co więcej, czasem ja sam idę i wypiję kieliszek wina ze starym przeorem z naprzeciwka. Pokazywałem się nawet w jego kościele w dnie ważnych świąt. Jesteśmy w tym znacznie mądrzejsi niż naziści: oni uczynili sobie wrogów z ludności, którą opanowali na wschodzie przez frontowy atak na jej religię. Widzicie rezultaty — są oni znienawidzeni wszędzie.

Mój rosyjski towarzysz przytakiwał swoją zgodę. Widziałem, że że był prawdziwym komunistą — czy też starał się wywołać wrażenie, że nim jest. Generał nalał trochę wódki do naszych szklanek. Wydawał się być bardzo zadowolonym ze siebie i ze swego rządu.

— Zobaczycie — powiedział — pewne bardzo dziwne rzeczy będą się odtąd działy w tych sprawach religii. Nie pozwólcie, aby to wywołało zamieszanie między towarzyszami; wytłumaczcie wzór tego planu członkom waszych komórek, jak to wam tłumaczyłem. Planujemy bardzo wiele nowości w tych stronach. W czasie Wielkanocy, na przykład, sowiecki ambasador w Konstantynopolu ma iść na czele rezurekcyjnej procesji, niosąc świecę, w celu pokazania szacunku tamtejszemu Patriarsze Ekumenicznemu. Wyobraźcie sobie! Ambasador jest człowiekiem, który był walczącym ateistą przez trzydzieści lat. Znam go dobrze. Lecz stać nas na to, aby robić te małe puste gesty dla dobra partii. Ambasadorowi nic się nie stanie przez odgrywanie tych niegroźnych kawałów — a prasa światowa będzie ujęta.

(Dokładnie to co generał przepowiedział miało miejsce w Konstantynopolu w r. 1947. Pierwszy raz od dni caratu rosyjski ambasador brał udział w resurekcyjnej procesji patriarchy w Katedrze.)

— Pozwólcie starym tutejszym ludziom mieć swoje kościoły. Nasze zadanie to — młodzież. Musimy ją przepoić doktryną do gruntu. Musimy ją uczynić w zupełności naszą. Musimy mocno ustanowić nasz uchwyt nad rządami, które powstaną w tych krajach. Dzięki porozumieniu w Jałcie nie będzie miało znaczenia kto zdobędzie większość w pierwszych powojennych wyborach, ponieważ w Jałcie zostało postanowione, że **wszystkie** partie muszą być reprezentowane w nowych rządach. Nasi ludzie będą więc musieli być do nas włączeni; wiecie co to znaczy. W ciągu roku przenikniemy do każdego ważnego rządowego stanowiska na wschód od Berlina.

— A wówczas, towarzysze — podniósł tryumfalnie swój mały kieliszek, jak gdyby to był puhar — wówczas będziemy mogli przyspieszyć rytm. Wyrzucić ich chrześcijańskie szkoły. Zedrzeć ich przestarzałe krucyfiksy. Znieść prasę katolicką i organizacje młodzieży chrześcijańskiej i ogłosić ludności, że cała prawosławna organizacja religijna, którąśmy urządzili w Moskwie, była oszukaństwem.

— Nie bójcie się. Przyjdzie dzień kiedy wschodnia Europa stanie się ateistyczna. Ale teraz mądrze jest prowadzić przeczekującą grę (str. 43 — 46).

PO ARESZTOWANIU

Następnego dnia zostałem znowu wezwany do biura na przesłuchanie. Było zwyczajnem w tym więzieniu przekazywać więźniów politycznych ZOB*). Ludzie stamtąd byli brutalni; niektórzy z nich współpracowali jako kolaboracjoniści z Gestapo i mieli poza sobą gruntowny kurs przeszkolenia w metodach nazistowskiej tajnej policji. Lecz z jakichś przyczyn nie użyto tego dnia fizycznej tortury jako preludium do rozmowy ze mną. Zamiast tego zostałem wprowadzony do biura, gdzie uśmiechający się, odziany w mundur osobnik siedział przy biurku.

— Dzień dobry — powiedział z wielką uprzejmością. — Proszę, niech pan siądzie.

Poczęstował mnie papierosem. Zapalając go, studiowałem jego twarz. Był to młody człowiek o wąskiej twarzy, zaciśniętych, cienkich wargach i oczach fanatyka, który doprowadził siebie do spartańskiego samoopanowania. Rozpoczął rozmowę ze mną akcentem przyjaźni.

— Jestem członkiem partii — rzekł — Pan na pewno wie dostatecznie wiele, aby rozumieć, co to znaczy. W Czechosłowacji teraz ja mam władzę. Te figury w rządzie to dekoracje; ich piękne liberalne sentymenty nie pomogą tutaj panu. Radzę panu nie usiłować szmuglowania na zewnątrz jakichś wezwań. To tylko nas rozdrażni, a gdy jesteśmy podirytowani, umiemy być bardzo nieprzyjemni.

— Jestem tego pewien — rzekłem. — Lecz jakie są oskarżenia, na podstawie których trzymacie mnie? Pan wie, że nigdy nie popełniłem żadnej z tych śmiesznych rzeczy, których wyznanie pańscy ludzie starali się na mnie wymóc. Czego ode mnie chcecie?

—Ach, co do tego...— powiedział — chcemy bardzo prostej rzeczy. Chcemy pisemnego zeznania, że pan i pański Kościół jesteście naszymi przyjaciółmi. To jest dostateczną prawdą, czyż nie tak?

— My jesteśmy chrześcijanami — powiedziałem mu. — A jeżeli jesteśmy dobrymi chrześcijanami, nie możemy mieć wrogów — nie wrogów w ludziach. Co się tyczy waszych komunistycznych ideałów, tak, one są naszymi nieprzyjaciółmi jako że zostały oparte na fałszywej i ateistycznej koncepcji człowieka. Tak. To jest prawda.

— Bardzo szlachetnie. Lecz skoro upieracie się przy wszystkich mitach chrzecijaństwa, jesteście naszymi wiecznymi wrogami — powiedział. — Dopóki wy i wasz Bóg nie będziecie martwi, jak Jowisz i Ozyrys, nie może być trwałego rozejmu. Pan wie to tak samo dobrze jak ja. Pan wie, że te dwa systemy są ze sobą absolutnie nie do pogodzenia. Jeżeli chrześcijaństwo i komunizm schodzą się ze sobą na kilka miesięcy, jak to się stało we współdziałaniu przeciwko nazizmowi, jest to jedynie rzecz taktyki. Gdy tylko naziści zostali zniszczeni, stara, śmiertelna walka pomiędzy naszymi dwoma systemami zaczęła się na nowo.

— W czasie wojny — odpowiedziałem — pańscy rosyjscy przyjaciele nie mówili o ponownym otwarciu Kościołów jako o tymczasowej sprawie konieczności, czy tylko taktyki... Mówili rosyjskiemu ludowi, że od tego czasu będzie mógł modlić się jak tylko będzie chciał. Masy tutejsze nie będą zachwycone odkryciem, że i one, także zostały oszukane. Ich religia jest dla nich rzeczą bardzo drogą. Będzie musiał wejść w grę terror, aby ich zmusić do zaprzestania praktykowania wiary, a terror nie wywołuje zaufania. Wasi przywódcy partyjni ściągną na siebie nienawiść, tym większą nienawiść, im ostrzejsze

*) **Czeski odpowiednik N.K.W.D i „Bezpieki".**

(Dokończenie na str. 3)

TOMASZ DOBROWOLSKI

PRZYCZYNOWOŚĆ TOMISTYCZNA

POJĘCIE przyczynowości jest czymś jak najściślej związanym z naszymi bezustannymi obserwacjami otaczającego nas świata — rzeczy i zjawisk. Dociekania naukowe, eksperymenty laboratoryjne, codzienne nasze czynności — oparte są na ścisłym powiązaniu przyczyn i skutków. Czasami zależność ta jest bardzo wyraźnie widoczna, do tego stopnia, że możemy z góry przewidzieć, że pewne fakty, zdarzenia — pociągną za sobą, s p o w o d u j ą inne, określone zdarzenia. Sposób jednak tego powiązania przyczyn i skutków jest w swojej istocie bardzo złożony i skomplikowany. — W i e m y, że pewne zdarzenia są przyczynami innych, trudniej natomiast jest nam odpowiedzieć, w jaki sposób się to odbywa. Trudno jest nam odpowiedzieć na to za pomocą samego rozumowania. Te trudności spowodowały, że niektóre historyczne szkoły filozoficzne, nie mogąc wyjaśnić przyczynowości samym rozumowaniem, odrzuciły je w ogóle i uznały, że w świecie istnieje jedynie proste n a s t ę p s t w o niepowiązanych ze sobą zjawisk, a wszelka przyczynowość istnieje jedynie w naszym umyśle. Dziś, gdy badania naukowe opierają się ściśle na rzeczywistości, na obserwacji i eksperymencie — trudno nam jest w ogóle zrozumieć możliwość takiego postawienia sprawy. Odrzucenie przez niektórych filozofów o c z y w i s t o ś c i stało się następnie powodem coraz większego oddalenia filozofii od rzeczywistości, a z kolei odwrócenia się nauk ścisłych od tak pojętej filozofii.

I to znowu spowodowało wypaczenie samej zasady przyczynowości przez nauki ścisłe. Aż do pierwszych dziesiątków obecnego stulecia panowało w świecie nauki niemal wszechwładne pojęcie czysto mechanicznej przyczynowości. Konstrukcję świata wyobrażano sobie jako coś w rodzaju bardzo skomplikowanego mechanizmu, gdzie wszystko, co się dzieje, jest spowodowane z matematyczną dokładnością tym wszystkim, co się działo uprzednio, że wobec tego wszystko m u s i się odbywać dokładnie w taki, a nie w inny sposób. Rozpowszechnione szeroko było mniemanie, że gdyby umysł ludzki mógł zanotować w jednym momencie w s z y s t k o, co się dzieje w danej chwili na świecie, na podstawie prawa przyczynowości, mógłby teoretycznie wyliczyć i przewidzieć wszystko, co się będzie działo w przyszłości. Innymi słowy, to co się dzieje teraz, miało określać nieodwołalnie całą przyszłość. Z drugiej strony teraźniejszość miałaby być w zupełności uzależniona od zdarzeń przeszłości. Takie ujęcie przyczynowości, właściwe światopoglądowi materialistycznemu, było czysto mechanicznym i deterministycznym, to znaczy z góry i nieodwołalnie określającym wszelkie możliwe wydarzenia w przyszłości.

Że takie pojęcie przyczynowości jest z gruntu fałszywe, udowodniła jasno nauka współczesna, a przede wszystkim badania fizyczne w zakresie budowy atomu i badania biologiczne. Wprowadziło to wiele zamieszania w świecie naukowym i doprowadziło nawet do podawania w wątpliwość samej przyczynowości. Powodem tego jest jednakże tylko zbytnie uproszczenie zasady przyczynowości przez światopogląd materialistyczny, który oddalił się od filozofii prawdy, od filozofii wieczystej.

Już Arystoteles w starożytności, a za nim św. Tomasz, odróżnia cztery odrębne od siebie rodzaje przyczyn: przyczynę sprawczą, celową, formalną i materialna. Z tych czterech rodzaj przyczyn światopogląd materialistyczny uznawał praktycznie jedynie przyczynę sprawczą i za pomocą niej usiłował wytłumaczyć wszystkie zjawiska. Przyjęcie przyczyny celowej w układzie wszechświata było dla materialistów nie do pomyślenia, gdyż musiałoby prowadzić logicznie do przyjęcia najwyższego Rozumu, najwyższej Inteligencji, najwyższego i osobowego Umysłu, który prowadzi wszystko do sobie tylko wiadomych celów. Innymi słowy prowadziłoby do uznania Boga.

Wśród czterech wymienionych rodzajów przyczyn — przyczyna sprawcza jest tym czynnikiem, który pokrywa się najdokładniej z tym, co się określa mianem przyczyny w języku potocznym. Z czterech przyczyn, które sprawiają, że coś jest takim, jakim jest — przyczyna sprawcza jest podstawą zmiany, ruchu, przyczyna celowa nadaje temu ruchowi kierunek, obie te przyczyny są zewnętrzne, stoją poza zjawiskiem, do którego się odnoszą. Przyczyny formalna i materialna istnieją wewnątrz zjawiska, czy rzeczy. Przyczyna materialna to podłoże, w którym działa przyczyna formalna — czyn, treść.

Rzeźbiarz jest przyczyną sprawczą posągu, który wykuwa w kamieniu. Cel, jaki prowadzi rzeźbiarza do stworzenia tego posągu, to wizja artystyczna, jaką chce urzeczywistnić, to poza tym chęć zdobycia sławy. Kamień jest podłożem działania, przyczyną materialną. Treść posągu, postać przedstawiona przez rzeźbiarza, forma posągu — to przyczyna formalna.

Wszystkie te cztery przyczyny są konieczne dla powstania posągu. Na pierwszym miejscu jest jednak przyczyna celowa, która jest pobudką dla połączenia się trzech pozostałych w dokonanym dziele.

Odrzucanie przez materialistów najważniejszej ze wszystkich przyczyn — przyczyny celowej — uniemożliwiało im kompletnie zrozumienie rzeczywistości, posunięcie się naprzód na drodze wiodącej ku prawdzie. Toteż przyczynowość ujęta ściśle mechanicznie nie mogła się długo utrzymać w nauce obiektywnej, a uporczywe trzymanie się jej przez dzisiejszą oficjalną „naukę" sowiecką zmusza sowieckich uczonych do rozpaczliwego zamykania oczu na obiektywną prawdę, wykazującą coraz wyraźniej doktrynerską ciasnotę i fałsz leżący u podstaw „dialektycznego materializmu".

Lincoln Barnett w swojej głośnej książce, omawiającej najnowsze zdobycze fizyki pt. „The Universe and dr Einstein", podkreśla wyraźnie znaczenie przyczyny celowej w świecie fizyki i nie ukrywa, że konsekwentnie — uznanie przyczyny celowej musi prowadzić do uznania istnienia Boga. „Większość uczonych — pisze Barnett — w odniesieniu do tajemnic świata, jego rozległych sił, pochodzenia, c e l o w o ś c i i harmonii unika raczej słowa Bóg. Einstein jednak, który był nazwany ateuszem, pisze o „swoim pokornym podziwie dla bezmiernego najwyższego Umysłu, który objawia się nam w tym wszystkim co jesteśmy w stanie przeniknąć naszym wątłym i słabym rozumem".

A jeden z największych współczesnych biologów, zmarły niedawno lauret nagrody Nobla dr Alexis Carell pisze w swojej rozległej książce „Człowiek — istota nieznana": „Każdy element ciała dostosowuje się do innych elementów, a inne do niego. Ten sposób dostosowywania się jest wyraźnie c e l o w y m". Nie da się zaprzeczyć istnienia celowości w organizmie. Każda część zdaje się znać obecne i przyszłe potrzeby całości i zgodnie z tym działa. Pojęcie czasu i przestrzeni nie jest takie same dla naszych tkanek, jak dla naszego umysłu.

Nauka nowoczesna nie obaliła przyczynowości. Obaliła natomiast jej mechaniczne, materialistyczne ujęcie sprowadzające wszystko do przyczyny sprawczej. I w tym wypadku, jak w tylu innych, okazuje się, że lekceważona i zapomniana filozofia scholastyczna, t o m i z m, wiedzie nas najpewniej i najprościej do prawdy.

Tomasz Dobrowolski

JANUSZ KOWALEWSKI

KSIĘŻNA

OPOWIADANIE

OKRĄGŁY stół w poczekalni świecił nagością politurowanego wierzchu. — „Trzeba będzie zapytać dentystę, jaką maścią osiąga taki lustr" — pomyślałem mimochodem, bom trochę nadwyrężył połysk blatu w swoim pokoju i wciąż żyję pod strachem, że gospodyni to spostrzeże i każe płacić za cały stół. — W miedziowo-złotawym zwierciadle politury odbijała się światłocieniami postać czytającej pani. Barwne okładki francuskiego żurnalu, białe dłonie o długich palcach, czarny kapelusik w formie beretu, ale z jednej strony podniesiony nieznacznie pionową ścianką, i białe włosy z obu stron głowy. Twarz była skryta za połyskującymi okładkami magazynu; brwi tylko — dwa czarne niskie a długie trójkąciki — wyglądały spoza krawędzi pisma.

Usiadłem. Było nas przez chwilę tylko dwoje. Otworzyły się szeroko drzwi i wszedł śmiałym krokiem starszy facet w granatowej jesionce. Powiedział głośno „dzieńdobry" i powiesił paltocik na wieszaku, starannie poprawiając rękawy. Jego bystre oczy pod siwymi zebranymi brwiami zatrzymała się na mojej jubce. Jako nowa miała kolor „marengo", obecnie jest już naprawdę nieokreślonej barwy: ni szara, ni ruda, ni granatowa...

— Pańska? — zapytał starszy facet, zwracając ku mnie ptasią twarz.

— Moja.

Ujął klapę w trzy palce prawej ręki i badał stan materiału gestem sprawnego kasjera, kiedy liczy „moniaki". I minę miał tak samo pogardliwą.

— Gdzie pan to kupował? — Mówił w śpiewnej, małopolskie pochodzenie zdradzającej, tonacji.

— We Włoszech.

— To pan z kasztaniarzy... I ni stać już pana było na lepszy towar?

Magazyn zadrżał w rękach siwowłosej pani. Uniosła głowę. Znad okładek magazynu ukazały się szare, lekko zmrużone, żywe oczy, a w oczach wesołe iskierki, być może refleksiki świecącego stołu...

— Nie — powiedziałem.

— Szkoda panu było kasztanów?

— Nie miałem kasztanów.

— A, to pan pewni z pawianów?

— Nie.

— Pan z Rosji z Andersem?

— Tak.

— No to jak bez kasztanów? U was wszyscy robili kasztany. Legioniści na kasztankach, a wy na kasztanach. Ha, ha, ha. No ni?

— Nie.

— Jakto „ni"?

— Ja nie robiłem kasztanów.

— A co?

— Strzelałem z armaty.

— Wszyscy tak mówią. A skąd z Polski?

— Z Warszawy.

— No to jak do Rosji?

Od chwili, kiedy powiedziałem, że nie mam kasztanów, przeszedł na formę bezosobową, unikając słowa „pan". Jasne: człowiek w takiej paltocinie i bez kasztanów nie może być panem.

— We Lwowie mnie aresztowali — informowałem resztkami już cierpliwości.

— A jak do Lwowa?

— Uciekałem przed Hitlerem.

— I do więzieni... Ha, ha, ha. Przeważni ucieka się z więzieni. A po co było uciekać przed Hitlerem?

— Myślałem, że Stalin lepszy.

— To taki jeszczy durny był naród w ty Warszawi?... My w Złoczowi dobrzy wiedzieli, co to bolszewizm.

Pani odłożyła gazetę i zakryła usta dłonią. Jej szare, mądre oczy nabierają coraz połyskliwszych ogników — wiem już na pewno, że nie od świecącego stołu, ale od naszego „błyskotliwego" dialogu.

— **A pani starsza, skąd przybyła?**

Pani trzyma przez chwilę jeszcze dłoń na ustach, a potem mówi:

— **Z Warszawy.**

— **Prosto tutaj?**

— Nie. **W Italii była wa pierwych.**

— Pani po polsku coś niebardzo.

— Bo ja i nie Polka.

— Hm... Rosjanka?

— Gruzinka.

— Hm... To jak w Warszawi?

— Ja jeszcze w tamtą wojnę z mężem i dziećmi ubieżała do Polski.

— Hm... To już stara.

— Ano, mnie sześćdziesiąt sześć.

Ażem drgnął tak niespodziewanie uderzyła mnie ta liczba. Osoby w tym wieku bywają z reguły smutne. A pani znad świecącego stołu jest przecież uosobieniem radości życia. — „Musi być bardzo szczęśliwa" — pomyślałem i westchnąłem zazdrośnie.

— Hm... A mąż jest?

— U mnie? Jest.

— Gdzi przebywa?

— W szpitalu.

— Na co?

— Na wysokie ciśnienie.

— No to umrzy.

— Ale co też pan mówi!

— Ja mówi, ja wim. W Penley szpitalu pełno takich starszych osób umirało.

Pani z anielskim spokojem opowiedziała cepowi historię o tym, jak pewien lekarz dysponował jej męża na śmierć trzynaście lat temu i dziwnym zrządzeniem losu sam umarł wkrótce potem. Żłób wysłuchał opowiadania — niezbyt cierpliwie — uparcie jednak obstawał przy swoim, że „taka starsza osoba na ciśnienie, szkoda gadać, niedługo pociągnie".

Do poczekalni weszła siostra w długim białym fartuchu i zapytała, może ktoś z nas „z bólem".

— A jak tak, to co? — zapytał grzdyl, wstając.

— To pan doktór przyjmie poza kolejką, jeśli państwo pozwolą.

Nasz chomąt oburącz złapał się za szczęki i, jęcząc wyznał, że już od trzech dni oka zmrużyć nie może. Siostra zapisała nazwisko i znikła na chwilę w drzwiach gabinetu.

— Pewnie koślawa, że w takim długim chałacie do kostek — powiedział wdzięczny pacjent, odejmując ręce od szczęk i mrużąc bure oko. Po czym wywołany przez siostrę, znikł nareszcie z poczekalni.

— Przepraszam pana — powiedziała pani — mnie tak śmieszno było słuchać, jak on z panem rozmawiał. Ja widziałam, że pan się na niego niecierpliwi, a on-że człówiek prosty.

— Podziwiałem pani łagodność i poczucie humoru.

— Ja-że przywykła. U nas na Kawkazie dużo takich ciekawskich. Polacy są dobrze wychowani, no zdarzają się... Trzeba-że być wyrozumiałym. Ja myślę, że ludziom niewyrozumiałym jest bardzo źle na świecie. U mnie jest gospodyni... Ja mogę mówić, bo pan jej nie zna. Ona jest niewyrozumiała i ja widzę, że się zatruwa tym, że swoim lokatorom zatruwa życie. Z tego zdenerwowania to chudnie, a potem wydaje na doktorów i na dożywianie. A jak się dożywi, to znowu wydaje na doktorów, bo chce schudnąć. I rzeczywiście chudnie, bo się kłóci ze wszystkimi. Nie to, że kłóci, tylko dogaduje, zrzędzi. Za wszystkimi chodzi do łazienki albo ubikacji i sprawdza, czy nie nabrudzili. Znajdzie coś, co jej się nie podoba, to zaraz pobladnie i woła tego lokatora, żeby sprzątnął. To ja już sama dla świętego spokoju, jak widzę coś nie w porządku, prędko sprzątam, żeby gospodyni nie zobaczyła. Ona-że zawsze pisze różne takie obwieszczenia, czego to nie wolno w tym domu. Ludziom aż żałko stało. Oni-że jak w więzieniu: tego nie wolno, tamtego nie wolno. Ludzie-że chcą wolności. Po to my na cudzej nie na swojej ziemi wszyscy. Żeby człowiek dla człowieka był wyrozumiały, nie mielibyśmy — tak ja sobie czasami myślę — ani Hitlera, ani Stalina, ani innych antychrystów na ziemi.

— Czy i dla niewyrozumiałych należy być wyrozumiałym? — pytam.

— No jakże? Dla nich szczególnie. Bo jakże ich nauczyć wyrozumiałości, jeśli nie własnym przykładem?

„Ciekaw jestem, jak ta piękna zasada wygląda w praktyce i jakby to „pani starsza" wytrzymała z moją jędzą-gospodynią" — pomyślałem.

— Ja już tak przywykłam i tak polubiłam Polaków — mówiła pani — że tylko u Polaków mogę mieszkać. Polacy są zupełnie jak nasi z Kawkazu. Tylko, że wy blondyni, a my bruneci, ale pod włosami te same głowy. Mnie tylko jedno dziwi: Polacy przed tą wojną byli ze wszystkiego zawsze zadowoleni, weseli, przyjacielscy. A teraz to się jakoś zmieniło... Dużo żałoby się w sercach uzbierało. Wszyscy wszystkich krytykują. A to zatruwa i unieszczęśliwa. U nas mieszka jeden student, to on z taką złością mówi o generale Andersie. I takie już jawne głupstwa, że sprzedał nas Anglikom za pensje generalską, zamiast zaraz po Jałcie zrobić powstanie przeciw Anglikom; że ranny ani razu nie był —a przecież był sześć razy —; że jemu, temu studentowi, w stypendium przeszkodził... A ja myślę, że Polacy powinni być dumni z takiego człowieka jak Anders. Ja nie mówię o wolności słowa, to-że druga sprawa, ale to trawienie czasu na dokuczanie innym ludziom, to zatruwa...

Facet „z bólem" siedział a siedział. Pewnie z wrodzoną sobie rzeczowością wypytywał dentystę o cenę, rodzaj i charakter sztucznych zębów. Słuchałem siwowłosej pani z zainteresowaniem, niemniej strata czasu paliła mnie, jakbym siedział na elektrycznym krześle. Wreszcie tamten wyszedł. Zakładajac granatową jesionkę, powiedział:

— To jest materiał. Cztery lata jak kupiłem, a si nosi, co? Bo pieniędzy nie żałowałem. Ubrać to ja się lubi. Jak ci widzo, tak ci piszo.

Przejrzał się w lustrze przy wieszaku, poruszył ramionami i wyszedł.

— Kto z państwa następny? — pyta siostra w długim fartuchu.

— Niech pan teraz idzie — powiedziała pani znad stołu. — Ja zdążę jeszcze do cerkwi na wieczorne nabożeństwo, a wam, młodym, wiecznie śpieszno...

Krygowałem się obłudnie, ale w myśli już obliczałem: „Zdążę przed trzecią wpaść do czytelni. O czwartej usmażą rybę w pokoju i do piątej, zanim wróci gospodyni, zdążę wywietrzyć. Przy dużym szczęściu, jeśli gospodyni pójdzie do kina, będę mógł napisać parę stron na maszynie"... I po raz pierwszy w życiu z radością w sercu usiadłem na fotelu dentystycznym.

Do mojej duszy dnia tego padł skądś promyk słońca — są ludzie, którzy potrafią niecić takie promyki jednym słowem, spojrzeniem — i rozmnażał się przez pączkowanie, dopóki nie zczezł w terrorze, jaki normalnie panuje w atmosferze każdego „room to let".

Ostatecznie i ten pokój stracić musiałem, bo moja angielska gospodyni, o ile jako tako tolerowała mnie samego (byłem wówczas przystojnym jeszcze blondynem przy kości), o tyle nie znosiła mojej maszyny do pisania. Rozpocząłem poszukiwania mieszkania z błogą myślą: „Tylko u rodaków. Rodacy przymkną ucho na hałas (nie taki przecież straszny) mojej maszyny; zrozumieją, że to przecież dla wspólnego dobra".

Przeczytałem w miejscowej „Legitymacji Polaka" (zawsze podziwiam patriotyczną pomysłowość przedsiębiorczych rodaków) zachęcające ogłoszenie: „Odżyjesz w narodowej atmosferze polskiego domu. Pokoje już od dwu funtów". Z samiutkiego rana, żeby mnie nie ubiegli, pukam kołatką. Najpierw cicho, potem średnio, potem głośno. Otwiera mi siwa pani, znajoma z poczekalni dentystycznej. Szary sweter, szara jedwabna bluzka z kołnierzykiem pod szyją, szara spódnica. Poznała mnie odrazu i uśmiechnęła się oczami, wesołe smużki, jak promyki rozbiegły się po twarzy.

— Pan pewnie za mieszkaniem.

— Ja właśnie... Ale dzwonka nie ma.

— Nie szkodzi. Ja mieszkam na parterze, to otwieram, ja mam czas, mnie-że nie fatyga.

Nagle przypomniała mi się rozmowa u dentysty. „Ładniem się wybrał" — pomyślałem.

— Ach, to jest ten dom, o którym pani opowiadała...

Wesołe smużki śmiechu wygładziły się nagle.

— Mnie jest ogromnie przykro, że ja to mówiłam. Nie przypuszczałam... Niech mi pan wierzy, że ja... Ot dowcipkowałam. Nasza gospodyni to dobra kobieta... Dba o czystość i spokój.

„Dobra kobieta" przyjęła mnie w długim granatowym szlafroku (przelotne skojarzenie z facetem w granatowej jesionce), obcisłym w stanie i spadającym kloszowo od talii do kostek. Czarne, zbyt czarne, aby były prawdziwe, włosy schodziły półgrzywką na czoło. Długi nos przydawał twarzy nieco ośchłości, której nie łagodziły duże, ale twardo patrzące oczy. W tej chwili oczy te, przebiegłszy szybko moją skromną figurę — od zlekka popękanych, włoskich jeszcze, „mesztów" poprzez niezdecydowaną szubkę koloru „marengo", do szarego niemodnego kapelusza z szerokim rondem — wyraziły niedwuznaczną zupełnie wątpliwość co do moich talentów płatniczych.

— Wolno wiedzieć, czym pan się zajmuje?

— Pisaniem.

— Próśb na maszynie?

— Nieee...

— Czy nie ma pan nic przeciwko temu, abym zapytała o dokładniejsze szczegóły? — Gospodyni mówiła wprawdzie po polsku, ale te polskie, jak najbardziej poprawnie wymawiane słowa były „deliwerowane" w angielskiej tonacji, z angielską powolną grzecznością i składały się w angielskie zupełnie zdania. Aż mnie to dziwem przejęło.

— Szczegóły? Pisania? Ja, tak... różne rzeczy, z głowy przeważnie.

— Pan jest poetą, nieprawdaż?

— Ależ... Poeci nie piszą z głowy.

— Pan pracuje w „Dzienniku"?

— Nie, proszę pani, ja naprawdę z głowy...

— Czy nie ma pan nic przeciw temu, żebym odpowiedź dała panu jutro? Muszę naradzić się z mężem, czyż nie?

Czułem, że chce mnie spławić. Ale ja p o s t a n o w i ł e m tu mieszkać. Pociągał mnie urok szaro ubranej pani, znajomej z poczekalni dentystycznej.

— Nie — powiedziałem ostro.

— Co „nie"?

— Pani nie musi naradzać się z mężem. Kiedy kobieta jest tak piękna i rozumna, jak pani szanowna, to mąż już ni pri czom, proszę pani. To się tylko tak przez grzeczność mówi, że z mężem, ale pisze się inaczej: pani się boi mojej wypłacalności, sądząc z pozoru z mojego ubioru. To jest, proszę pani, tak tylko ze skąpstwa. Bo tych parę kasztaników, co się na pamiątkę przywiozło, to się przeznacza wyłącznie na opłatę komornego.

— Ach, to pan z drugiego korpusu — ożywiła się pani i uniosła czarne brwi, że zetknęły się z równoleżnikiem włosów. — Szkoda, że pan od razu nie powiedział. Wprawdzie uważam, że Monte Cassino było niepotrzebną stratą polskiej krwi, ale chylę czoło, nieprawdaż?

W ten sposób — dzięki niewinnemu kłamstwu o tych kasztanach — zostałem współlokatorem, współoddychającym „narodową atmosferą polskiego domu" za dwa funty tygodniowo. W domu, przyznać trzeba, panowała idealna czystość, tylko, że ruchy lokatorów były rzeczywiście nieco ograczone przez wiele ogłoszeń wewnętrznych i przez częste interwencje zewnętrzne pani gospodyni.

Zaczynało się od ostrzeżeń na drzwiach wejściowych (po angielsku, oczywiście): „Nie trzaskaj drzwiami, jeśli nie musisz. Wycieraj nogi, jeśli nie szkoda ci podeszew. Stąpaj cicho. Dom jest mój, ale spokój i czystość tego domu stanowią własność wspólną. Właściciel domu." Sentencje te były wypisane czarnym tuszem na białym kartonie i starannie okryte celuloidem.

W ubikacji natomiast czerwone ozdobne litery straszyły: „Nie myśl, że cię tu nikt nie widzi. Zasady moralności i dobro domu jako całości wymagają od ciebie, abyś zostawił to miejsce przynajmniej tak czyste, jak je zastałeś." Zawsze będąc „w tym miejscu", oglądałem się ze strachem, kto też może mnie w tej chwili widzieć.

W łazience napisy były mniej umoralniające, ale bardziej rzeczowe: „Parter kąpie się w poniedziałki od 7-ej do 10-ej. Pierwsze piętro — środy od 6-ej do 10-ej. Drugie piętro — piątki od 8-ej do 10-ej. Prać w łazience nie wolno.

Przestrzegałem lojalnie wszystkich tych reguł gry w „atmosferę", mam bowiem duży zmysł społeczny, odziedziczony po przodkach. Obostrzenia łaziebne nie bolały mnie, bo ile razy zachciało mi się kąpieli, a dzień był nie mój, albo łazienka zajęta, to przypominało mi się więzienie w ojczyźnie proletariatu światowego, gdzie jeden kubek wody wystarczał na cały dzień do mycia zębów, twarzy, rąk oraz popiersia. A dozorcy na żądania nasze: „dawaj więcej wody do mycia", odpowiadali niezmiennym sloganem: „niedźwiedź się nie myje, a też żyje; pojedziesz na białe niedźwiedzie, przywykniesz, a nie przywykniesz, to zdechniesz".

Pani gospodyni lubiła „literaturę piękną". Często ze mną na ten temat rozmawiała. Zaczynała zawsze od: „Zaznaczam, że się absolutnie nie zgadzam z pańskimi tezami, ale chylę czoło"... Nabrała do mnie zaufania i, widziałem to wyraźnie, zaczęła szukać we mnie „duszy bratniej". Gdyby jeszcze we mnie, to pół biedy, ale bywało że i w moich maszynopisach, co mnie zastanawiało, jako że zwyczaj taki był sprzeczny z obyczajami angielskimi, którym pani nasza hołdowała. Ale to była, widocznie, polska koncesja na rzecz „atmosfery".

Z „literatury pięknej" rozmowy schodziły zwykle na tory bardziej osobiste, to znaczy lokatorskie, ściśle — plotki o lokatorach. Dowiedziałem się, że siwowłosa pani z parteru jest księżna. Ale „taka tam" księżna gruzińska... u nich, kto ma trzydzieści baranów, to już książe".

Wtrąciłem grzecznie, że księżna nosi jednak nazwisko historyczne: jeden z jej przodków pobił Napoleona.

— Co też pan mówi?! — wykrzyknęła moja dusza bratnia. — Nigdy się tym nie chwaliła. To chyba nie ta linia?

— Chyba ta, proszę pani.

— Z czego pan wnosi?

— Właśnie z tego, że się nie chwaliła.

Potem dowiedziałem się, że na drugim piętrze mieszka para byłych aktorów. Prawdopodobnie nie małżeństwo, bo „u nich to... wiadomo"... I że brudasy, bo „czystość ciała idzie w parze z czystością duszy".

Gawędziliśmy raz sobie w korytarzu na parterze, gdy drzwi trzasnęły nagle. Przed piorunującym wzrokiem gospodyni i moim ciekawym spojrzeniem zjawiła się właśnie ta aktorka z drugiego piętra. Włosy obcięte krótko na modną „szopę", spodnie i kloszowy kubrak z kapturem.

— Chciałabym się dziś wykąpać — powiedziała — w tej fabryce brud i pył nie do zniesienia.

— Dziś się kąpie parter — powiedziała zimno gospodyni. Był poniedziałek.

W tej chwili wyszła księżna. Bardzo przeprosiła, że słyszała ostatnie zdanie i powiedziała, że ustępuje swego miejsca aktorce, której twarz, zadziorna i niechętna, na widok księżny wypiękniała nagle uśmiechem prawdziwej, dobrej radości. Podziękowała i szybko pobiegła na górę „po mydło i ręcznik".

— Takie to ładne, a tak się biedna musi męczyć w tej farbryce — powiedziała księżna.

— Ale pretensje to ma... nadzwyczajne. W czasie powstania warszawskiego też się na pewno nie kąpali, a żyją. Myślą, że już bohaterzy, jak przez protekcję Virtuti dostali. My tutaj, w Londynie, też wycierpieliśmy niemało podczas „V-two" Oni na pewno nie chcieliby być w naszej skórze. I po co w ogóle to powstanie... Tyle domów zburzyli. A człowiek bez domu jest taki jakiś zagubiony, nieprawdaż? Jest jak ta roślina wyrwana z korzeniami...

— Brak mu tej atmosfery — dodałem z entuzjazmem, który znakomicie maskował ironię. Księżna westchnęła lekko, ale zaraz rozpogodziła twarz i zaprosiła nas na herbatę do swego pokoju.

Gospodyni opowiadała — rozmarzona i, prawdopodobnie, puszczając wodze bujnej fantazji, o wspaniałościach swego domu w Warszawie. Jakie przyjęcia, jacy ministrowie, jaka „literatura piękna", jaki „świat artystyczny", „nie takie tam barachło, jak ci z drugiego piętra". Mówiąc o „ludziach sceny", Jaracza pomieszała z Wyrwiczem. Cóż za upadek, że teraz zamiast mieć ten dom na własność wyłącznie dla siebie, musi zajmować się wynajmowaniem mieszkań użeraniem z „takim elementem" jak ci z drugiego piętra. „A było się kiedyś prawdziwą damą".

Drzwi łazienki trzasnęły. „Taki element" skończył widocznie kąpiel. Gospodyni przeprosiła, wybiegła — z szybkością zgoła nie angielską, — po chwili wróciła cała drżąca i w łunie rumieńca

— Państwo są inteligentni ludzie, nieprawdaż? Pani przodek pobił Napoleona...

— Mój? Skądże. Mojego męża...

— Wszystko jedno. A pan pisze na maszynie... Niech więc państwo zobaczą, proszę, w jakim stanie ten brudas zostawił łazienkę...

Nic szczególnego nie mogłem zauważyć. Gospodyni jednak sokolim okiem wypatrzyła na białych emaliowanych bokach wanny jakieś trudne do zidentyfikowania drobinki.

— To jest niedopuszczalne —biadała nieszczęśliwa kapłanka naszej domowej czystości.— Ja ją tu sprowadzę natychmiast i niech myje w imię higieny, w imię... moralności.

— Atmosfery domowej — wtrąciłem z entuzjazezm. Zdolność naszej półinteligencji do wysokich wzlotów języka jest wzruszająca...

— Niech-że pani da spokój - powiedziała księżna. — Ona-że zmęczona, po całym dniu takiej pracy w fabryce. Toż prościej będzie to zamyć... — co mówiąc odkręciła kurki, machnęła parę razy ściereczką. — I ot po wszystkim.

— Dowody rzeczowe mi pani zmyła — załamała ręce gospodyni.

— Trzeba-że ją wyrozumieć...

— A kto **mnie** zrozumie? Ja przecież dla dobra domu. Ja w imię uszanowania praw tego domu. Dlaczego Anglicy są wielkim narodem? Bo szanują prawa, które sami ustanowili.

— Prawo to piękna rzecz — powiedziała księżna. — No człowiek... Człowiek rzecz piękniejsza, bo człowiek-że twór Boga.

Mówiła to z takim spokojem, z taką pewnością, z taka powagą, ale powagą radosną, że słowa, co by w innych ustach brzmiały, jak jeszcze jeden z miliona frazesów, którymi ludzie okłamują ludzi, u niej miały siłę Ewangelii. To była jedna z tych dusz którą Bóg od czasu do czasu tchnąć się decyduje w swoich Franciszków z Assyżu.

Zadałem sobie wtedy po raz pierwszy pytanie: „Skąd ta tak bardzo przez życie doświadczona kobieta czerpie swoją siłę?"

Do pokoiku jej schodzili się wszyscy z naszego domu — i spoza domu — aby zaznać tu ukojenia. Była naszym spokojem domowym. Oliwą na wzburzonych falach naszej „atmosfery". Piorunochronem wszystkich napięć. I powoli atmosfera tracić zaczęła siłę tych napięć. Zelżały regulaminy kąpielowe. Student dostał zniżkę komornego. Aktorzy wyrzekli się zamiaru podania skargi do angielskiego sądu mieszkaniowego. Przychodziło się na szklankę herbaty, a piło się środek pocieszający... Te wieczory pod samowarem... Mało kto chyba wtedy w Londynie czuł sie tak beztrosko i radośnie, jak my, którzyśmy bywali u księżny. Nie było w niej nic z tego, co się na ogół nazywa „cechami starości" — zgorzknienia, zrzędności, manii przewodzenia młodym, skłonności do perorowania. Jej żywa twarz promieniała smużkami uśmiechów. A przecież...Straciła fortunę. Straciła najbliższych. Była kiedyś jedną z najpiękniejszych i najmodniejszych młodych dam Rosji. Nigdy nie opowiadała o swoich tragicznych przeżyciach; z przeszłości zawsze wydobywała coś, co napełniało otuchą, co zmuszało do śmiechu, stwarzało nastrój i wiarę w — Boga i człowieka. I w tym właśnie była o tyle taktowniejsza i rozumniejsza od setek nudziarzy, pchających ręce do ognia a palce w świeże jeszcze rany. Ale wiem, że znajomym Anglikom, a miała ich wielu, opowiadała właśnie o tym, czego oni nie znali, o zbrodniach bolszewickich, czym się też różniła od naszych propagandystów i „literatów", agitujących nasze getto zamiast gospodarzy.

Spotkałem raz u księżny dwie Rosjanki, siostry. Zadartonose, niebieskookie. Małomówne, skupione. Księżna opowiedziała mi, po ich odejściu, ich nadzwyczajną historię.

W trzydziestym ósmym roku całą ich rodzinę aresztowano. Zostały dwie samotne, jedna dziesięć, druga dwanaście lat. Żarliwe komsomołki. Tragedię swojej samotności spostrzegły nie od razu. Dopiero po jakimś czasie brak najbliższych stał się jakby faktem psychicznym. Wstrząsnęła nimi świadomość grozy osamotnienia. Postanowiły popełnić samobójstwo. Miały nocą wyjść z internatu, żeby utopić się w rzece. W korytarzu zastąpił im drogę jakiś starzec i powiedział, żeby tego nie robiły, że życie ich tu na ziemi potrzebne jest Bogu. Uklękły, a starzec zniknął. Potem w czasie wojny pojawił im się raz jeszcze i przeprowadził je przez front.

Księżna opowiadała o tym z zupełną prostotą i bez cienia wątpliwości co do tego, że jest to wypadek rzeczywistej interwencji niebieskiej.

Przy całej swojej wielkiej i żarliwej pobożności księżna była osobą na wskroś światową. Nie miała zamiaru chronić się w mury klasztorne ze swoją głęboką wiarą. Chciała być między ludźmi. Pozostała, kim się urodziła — damą. A to trudniej niż być księżną. Trudniej nawet niż być... właścicielką domu.

Janusz Kowalewski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

UROCZYSTOŚCI NOWYCH ŚWIĘTYCH

o których pisaliśmy w nrze z dnia 8 lipca, naznaczył Papież na dzień 14 maja — św. Marii Dominiki Mazzarello, 24 sierpnia — św. Emilii de Vialar.

„DOMUS PACIS".

W Rzymie został otwarty i poświęcony „Dom Pokoju", nowe międzynarodowe centrum dla młodzieży. Mieści ono pomieszczenie dla 900 osób, sale dla ćwiczeń duchownych, studiów i kongresów.

PIERWSZYM KSIĘDZEM,

który od czasów reformacji otrzymał stopień naukowy na uniwersytecie St. Andrews w Szkocji, jest nowomianowany przez Papieża arcybiskup St. Andrews i Edynburga, ks. Gordon Gray. Biskupem Aberdeen został ks. Walsh, b. superior Białych Ojców w Heston, Mddx.

Problem szkół katolickich we Francji. Nowy parlament francuski zajmie się wkrótce sprawą szkół katolickich we Francji. Z 626 posłów 216 podpisało przed wyborami zobowiązanie, że zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, by poprzeć szkoły katolickie w ich walce o równouprawnienie.

Polski „Tygodnik Katolicki", wychodzący w Australii, St. Stanislaus College, Bathurst, 3W, N.S.W., od przeszło 2 lat, ukazuje się obecnie w nowej szacie. Liczy 16 stron, w tym 1 str. dla młodzieży i 4 strony po angielsku. W części angielskiej drukowany jest m. in. „Quo vadis?", w dodatku dla młodzieży m. in. „W pustyni i w puszczy". Szkoda, że dodatek dla młodzieży jest tak szczupły. Redaktorem tygodnika jest ks. K. E. Trzeciak,C.M.

Krzysztofory. W r. 1945 ks. J. Keller, ze zgromadzenia misji Maryknoll, założył stowarzyszenie pod nazwą Krzysztofory dla zachęcenia katolików do brania udziału w życiu publicznym i wpływaniu na publiczność poprzez prasę, radio i kino. Stowarzyszenie liczy obecnie 300 tysięcy członków w Stanach Zjednoczonych. Na początku lutego ks. Keller ogłosił listę nagrodzonych w konkursie stowarzyszenia pisarzy i artystów za wysoki poziom moralny ich dzieł, przy niemniej wysokim poziomie artystycznym.

W stolicy Ekwadoru, Quito, została otwarta katolicka radiostacja.

Nowy atlas misyjny, opracowany przez archiwistę paleografa o. Despont, uwzględnia rozwój terytorialny placówek misyjnych.

Z ŻALOBNEJ KARTY

WYCHOWAWCA POLSKIEJ MŁODZIEZY

W czerwcu br. zmarł w Zakopanem po ciężkiej chorobie, w czasie której amputowano mu nogę, niezmiernie zasłużony w okresie 20-lecia niepodległości wychowawca i duszpasterz śp. ks. Józef Winkowski.

W narodzie polskim wielcy wychowawcy, typu ks. Stanisława Konarskiego w 18 stuleciu w dziedzinie religijno - oświatowej, czy Romana Dmowskiego w dziedzinie ideowo-politycznej w 20 wieku, należą raczej do wyjątków. W czasie, gdy św. Jan Chrzciciel de la Salle zakładał we Francji zakon „Braci Szkół Chrześcijańskich" i reformował szkolnictwo duchowne, później zaś Szwajcar Pestalozzi rzucał podwaliny pod nowoczesny system edukacji świeckiej — Polska grzęzła w anarchii i ciemnocie czasów saskich oraz traciła niepodległość. Nawet wielka reforma salezjańska św. Jana Bosco w 19 stuleciu Polskę ledwo dotknęła. Wszystkie nasze siły szły wówczas na walkę o wyzwolenie państwa z niewoli. Stąd też mamy tak trudne do wyleczenia i zastarzałe wady narodowe; wysiłek nasz wychowawczy w dziejach, wymagający mądrości, wytrwałości i pokory, był raczej niewielki. A narody idą do potęgi przeważnie przez pracę i umiejętne wychowanie młodzieży, nie przez zbyt hojne wylewanie krwi, jak nas powszechnie a niemądrze uczono.

Tym większa jest zasługa ludzi cichych i wytrwałych (z nich był ks. Winkowski), którzy stawiają sobie za cel wychować dobrze jedno pokolenie narodu. Kapłan wychowany w twardej, lecz wspaniałej, znającej dobrze ludzką psychikę, szkole duchowej ks. arcybiskupa Adama Sapiehy — wiedział, że wychowanie na dobrego człowieka trzeba zaczynać wcześnie: w szkole średniej szczególnie, kiedy młodzież jest najbardziej bezbronna wobec pokus zła, a najbardziej na nie narażona. Znał dwa lekarstwa dla tego okresu duszy młodzieńczej: kształcenie woli i kult obowiązku oraz wielka cześć dla Matki Bożej. Oba środki usiłował harmonijnie związać w organizacji przez siebie kierowanej przez długie lata: w sodalicji mariańskiej uczniów szkół średnich. Była to w latach 1927 — 1939 jedna z najpotężniejszych organizacji młodzieży gimnazjalnej w Polsce, a jej wielkie zjazdy gromadziły tysiące delegatów. Miesięcznik „Pod Znakiem Marii", znakomicie redagowany przez ks. Winkowskiego, był przez młodzież istotnie czytany i kochany, osiągał też wysokie nakłady. Kolonia sodalicyjna na Śnieżnicy w Zakopanem, królestwo ks. Winkowskiego, była znana szerokim rzeszom młodzieży: przez klimat górski i wycieczki tatrzańskie chroniła zdrowie ciała, przez klimat zaś duchowy wzmacniała i leczyła dusze.

W organizacji kierowanej przez ks. Winkowskiego nie było nic z bigoterii, nic z dewocji ani obłudy, a w kulcie Matki Bożej nic z zabobonu. Młodzież uczono tam w myśl najlepszych tradycji humanizmu chrześcijańskiego surowości dla siebie, a życzliwości i dobroci dla bliźnich, starano się poddać Chrystusowi nie tylko zapalne zawsze polskie serca młodzieńcze, ale także oporne nieraz polskie umysły i polską wolę. Kult zaś sodalicyjny Najśw. Marii Panny miał być nie tylko naturalną, chrześcijańską potrzebą sarca: oddaniem czci należnej Matce Zbawiciela i Królowej Polskiej Korony, lecz także miał stać się wsparciem woli, słabnącej w pokusach.

Nie dziw, że przy tak nowoczesnym i katolickim wychowaniu ówczesne sodalicje mariańskie umiały znaleźć pomoc u wielu wybitnych ludzi w świecie myśli i sztuki katolickiej. Kto, tak jak autor tych zdań, miał szczęście być uczestnikiem zjazdu sodalicyjnego w Częstochowie i na Jasnej Górze w 1930 r., gdzie do tysięcy młodych Polaków wygłosił natchnione przemówienie o walce dobra ze złem w duszy ludzkiej jeden z najwybitniejszych mówców, jakich posiadała wolna Polska — poeta i dramaturg krakowski — Karol Hubert Rostworowski — ten na całe życie zrozumiał, że umiejętność zorganizowania przez ks. Winkowskiego takich manifestacji, decydujących nieraz o przyszłości duchowej tysięcy młodych dusz — jest naprawdę darem Boga.

Ks. Winkowski, przygotowując przyszłą polską inteligencję do służby Chrystusowi-Królowi, gotował ją także do służby narodowi. Jego ujmujące, pełne życzliwości dla młodzieży i miłości Polski kazania i konferencje zapadały głęboko w dusze słuchaczy, bo płynęły ze szczerej, głębokiej duszy duszpasterza i Polaka.

Toteż pokolenie wychowane przez ks. Winkowskiego nie zawiodło swego mistrza i nauczyciela. Ono to, w znacznej mierze, po wyjściu z kierowanych przez Niego sodalicyj, przeprowadziło w latach trzydziestych ów niezwykły renesans katolicyzmu w duszach młodzieży na wyższych uczelniach polskich, a 24 maja 1936 r. dokonało akademickiego Ślubowania Jasnogórskiego i obwołało Matkę Bożą Patronką Polskiej Młodzieży Akademickiej. Ono później w godzinach próby okazało wierność Chrystusowi i Polsce, ginąc na wszystkich polach bitew od Kutna po Monte Cassino i Falaise, na morzu i w powietrzu, we wszystkich pracach Polski Podziemnej, idąc do wszelkich więzień, obozów i miejsc stracenia, do wszystkich Oświęcimiów, Mauthausenów, Kołymi i Katyniów, w godzinie próby i w godzinie śmierci modląc się do Królowej Korony Polskiej.

Nie wiem, jakie były losy śp. ks. Winkowskiego w czasie wojny i po niej, jakie Jego ciężkie zapewne cierpienia. Ale wolno dziś chyba stwierdzić, że jeśli przyszła wolna Polska będzie istotnie z ducha chrześcijańska, to będzie to zasługą przede wszystkim takich ludzi, jak śp. ks. prof. Winkowski. Albowiem katolicyzm nie wyrasta z ziemi, jeno jest związany z wolnym wyborem dusz nieśmiertelnych, których tyle ks. Józef Winkowski ukształtował i na drogę prawdy wprowadził. Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

Witold Nowosad

TECHNIKA NIENAWIŚCI

(Dokończenie ze str. 1)

będą środki przeciwko Kościołowi. Czy ma pan zupełną pewność, że jest rzeczą mądrą próbować rządzić ludźmi przy pomocy nienawiści?

Wzruszył ramionami.

— To jest wszystko bardzo interesujące — odpowiedział — ale nie o to chodzi. Chodzi o to: będziemy dyskredytowali pana i ludzi takich jak pan Postaramy się zmusić ludzi do uwierzenia, że wszyscy księża współpracowali z nazistami. Potrzebujemy do tego celu kilku wybitnych zdrajców spośród kleru. Pan przyznaje, że pan jest wrogiem naszego komunistycznego reżymu. To oznacza teraz w praktyce, że przyznaje pan się do zdrady. Dlaczego nie ułatwić rzeczy dla siebie samego i nie rozciągnąć nieco prawdę? Dlaczego pan nie podpisze jednego z tych zeznań o spisku przeciwko rządowi? Wówczas pozwolimy panu pójść wolno.

— Ponieważ one nie są prawdziwe — powiedziałem. — Ponieważ nigdy nie spiskowałem przeciw rządowi.

— Ach, co za przesada — rzekł.— Za każdym razem, gdy odprawia pan Mszę, demonstruje pan swoją opozycję do rządu dzisiejszego. Dlaczego nie wyrazić swej nienawiści w stosunku do nas w formie, w jakiej chcemy, aby pan to uczynił?

— Ponieważ to nie jest prawda.

— A cóż to jest prawda? — zapytał.

Odpowiedziałem mu:

— To jest pytanie, które zadawał Piłat Poncki.

Tego dnia w podwórzu udało mi się wślizgnąć do sąsiadującego z Ludwikiem rzędu, gdy się zaczął spacer długiej kolumny więziennej. Mieliśmy pełne pół godziny, w czasie której była możność rozmowy przeprowadzanej bez poruszania wargami, który to sposób przyswajają sobie wszyscy więźniowie.

Ludwik opowiedział mi prawdę o tych zgiętych i wlokących się ciałach, które widziałem wokół siebie. Powiedział: „Wszyscy z nas byli torturowani. Niektórzy torturowani są co nocy. Zaczyna się od bicia w żołądek i uderzeń między oczy. Niekiedy wybijają jeden czy drugi ząb. Ale prawdziwa męka przychodzi później."

Nieznacznie skierował moją uwagę na jedną ze swych okaleczonych rąk.

— Włożyli długi ołówek między moje palce i skręcili je jeden na drugi aż kości pękały — powiedział. — Na niektórych innych stosowali stary wschodni sposób: gnietli nosy tak długo dopóki krew nie zaczęła spływać do gardła aż do udławienia. Wszyscy z nas są, oczywiście, bici pasami i łańcuchami. Niekiedy biją podeszwy naszych nagich stóp ostrymi prętami.

— Lecz najbardziej groźne rzeczy, które czynią, nie są z zakresu fizycznego. Czytają nam oświadczenia podpisane przez naszych najbardziej bliskich przyjaciół; one wplatują nas w najrozmaitsze formy spisku. Wymieniają daty, nazwiska i szczegóły. Niekiedy, po torturze, jest się tak oszołomionym, że się zaczyna wątpić we własną pamięć; zastanawiasz się czyś ty istotnie nie zrobił tej rzeczy. Gdy umysł szuka poomacku i w oszołomieniu, kieliszek koniaku podsuwany jest pod nos i zapalony papieros jest ofiarowywany, a równocześnie padają słowa; „Podpisz tylko, a możesz się napić, zapalić i dobrze najeść."

Podziwiałem odwagę tych chłopców, którzy wytrzymali taki ból, takie prześladowanie a ciągle pozostawał w nich duch i dawali mnie ostrzeżenie, co może mnie czekać.

— Co oni chcą wydostać ode mnie? — spytałem.

— Chcą, ażeby ksiądz wyznał, że był zamieszany w spisek Gwardii Hlinki przeciw rzadowi — powiedział. — Usiłują uwikłać Kościół, biskupów, a nawet czynniki watykańskie. Nazwisko księdza pojawiło się już w półtuzinie sfałszowanych zeznań, do których podpisania starają się nas wszystkich zmusić. Lecz proszę się nie obawiać, ojcze: to są dzielni chłopcy. Oni nie zdradzą.

Tłum. J. K.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Czy ludzkości grozi głód? W ostatnich latach namnożyło się ponurych proroctw o nieuniknionym jakoby niedoborze żywności, jaki zagraża szybko się mnożącemu rodzajowi ludzkiemu. Proroctwa te oparte są o dane statystyczne i wywody, mające pretensje do naukowej ścisłości. Największy rozgłos w tym zakresie zdobyło studium Vogta „Road to Survival". Ostatnio ukazała się książka Michaela Robertsa „The Estate of Man" (Faber, cena 15 sh) poświęcona temu samemu zagadnieniu — książka niedokończona zresztą z powodu zgonu autora w r. 1948. Roberts, podobnie jak Vogt, rozwodzi się nad dysproporcja miedzy szybkim wzrostem zaludnienia kuli ziemskiej a rozporządzalnymi źródłami wyżywienia, które na domiar okazują tendencję do zmniejszania się z powodu zbyt forsownej eksploatacji i braku gospodarczej przezorności. Poza tym, zdaniem Robertsa, ludzkość gospodaruje źle także kapitałem swych talentów i energii nerwowej, zanadto go wysilając. Kapitał ten zresztą — jak twierdzi Roberts — również ulega kurczeniu się z powodu zbytniej płodności „niższych" ras i warstw społecznych oraz z powodu nadmiernej urbanizacji i organizacji życia ludzkiego.

Z pesymistycznymi wnioskami Robertsa polemizuje w „Observerze" Sebastian Haffner. Przyznaje on, że w razie utrzymania się przyrostu naturalnego na obecnym poziomie ludzkość nie będzie mogła w przyszłości żyć z rolnictwa, tak jak to się dzieje dotychczas. Nie znaczy to jednak, by była skazana na wygłodzenie. Badania Calvina i Bensona na Uniwersytecie Kalifornijskim pozwalaja mieć nadzieję, że nim nadejdzie kryzys w tym zakresie ludzie wynajdą sposoby produkowania żywności innego typu: albo przez sztuczną „fotosyntezę", albo też przez „gospodarkę rolną na morzu" („farming the sea"), mianowicie uprawę wodorostów na wielka skalę.

Haffner usposobiony jest także sceptycznie wobec twierdzeń o grożącym jakoby spadku zasobów ludzkiej energii intelektualnej i nerwowej. Uważa on za rzecz możliwą, że tzw. rasy kolorowe, które skłonni jesteśmy uważać za upośledzone w tej dziedzinie, ujawnić mogą w przyszłości wielkie talenty i uzdolnienia.

Obawa przed odrodzeniem faszyzmu we Włoszech. Publicysta włoski Arturo Carlo Jemolo, z przekonań liberał o zabarwieniu katolickim, ogłosił książkę pt. „Italia Tormentata (1946 — 1951)", w której wypowiada pogląd, że Włochy od wewnątrz nie są narażone na przewrót komunistyczny — chyba, że przyniosłaby go armia sowiecka —, ale raczej na odrodzenie faszyzmu. Zdaniem Jemola demokracja włoska znajduje się w stanie degeneracji, ton duchowy i moralny narodu bardzo się w ciągu ostatnich paru lat obniżył, biurokratyzacja życia społecznego czyni ciągłe postępy, a rządząca Chrześcijańska Demokracja nie potrafiła rozwiązać żadnego z istotnych problemów społecznych. Jest to właśnie podłoże, sprzyjające odrodzeniu się faszyzmu. Książka Jemola wywołała ożywioną polemikę w prasie włoskiej.

Starożytni o swoim „ja". Ukazała się obecnie w języku angielskim, w dwóch tomach, bardzo interesująca praca prof. G. Mischa „A History of Autobiography in Antiquity" (Routledge and Kegan Paul, cena 25 sh.), poświęcona motywom i momentom autobiograficznym w dziełach pisarzy starożytności, od Hezjoda poczynając po Boecjusza. Z pracą tą w pewnej mierze łączy się wydana obecnie przez tę samą firmę inna książka prof. Mischa o początkach filozofii („The Dawn of Philcsophy", cena 25 sh.).

Z dziejów fałszerstw literackich. W „John O'London's Weekly" Hoole Jackson opowiada o niezwykłym fałszerstwie literackim, dokonanym w Anglii w ostatnich latach XVIII w. Niejaki William Henry Ireland, pisarz bardzo miernego talentu, ogłosił rzekomy fragment szekspirowskiego „Hamleta", a później zaprodukował stary rękopis, zawierający sztukę teatralną „Vortigern", która również jakoby wyszła spod pióra Szekspira. Ireland zdołał wprowadzić w błąd szereg ludzi, m.in Sheridana, który wówczas był kierownikiem teatru Drury Lane — i w tymże teatrze dramat „Vortigern" wystawiony został w r. 1796. Spośród obecnej publiczności podniosły się jednak liczne protesty i dalszego wystawiania sztuki poniechano. Ireland przyznał się później, że rzecz napisał sam.

Był to w ogóle okres literackich fałszerstw na wielką skalę. Największy rozgłos pod tym względem zdobył Szkot James Macpherson, który w latach 1760 i 1762 ogłosił odkryte jakoby przez siebie zabytki dawnej poezji w języku „gaelic", przypisując je Ossjanowi. To rzekome odkrycie wywołało wówczas wielką sensację w świecie literackim całej Europy, także w Polsce; nasi młodzi poeci rozczytywali się w „Pieśniach Ossjana".

Nowele Maurois. Ukazał się zbiór nowel i opowiadań André Maurois pt. „Le Diner sous les Marroniers" (Anglo-French Literary Services, cena 9 sh.).

Wspomnienie o marszałku Pétain. „Le Figaro Littéraire" z dn. 28 lipca ogłasza essay historyczny Pierre Audiat'a pt. „Le Général Pétain à Verdun". Autor podkreśla, że zmarły marszałek łączył w sobie „stoicyzm starego Rzymianina" z umysłem śmiałym i „frondującym". Odznaczał się rzadkim darem organizacyjnym i umiejętnością przewidywania wypadków. Cieszył się ogromną popularnością wśród żołnierzy, którymi opiekował się po ojcowsku.

Artykułów tego rodzaju pojawiło się ostatnio sporo w prasie francuskiej. Robią one wrażenie, że Francuzi pożałowali po niewczasie, że pozwolili staremu marszałkowi zakończyć życie w więzieniu, nieznacznie tylko pod koniec złagodzonym.

„Nowe imperium Sowietów". Publicysta amerykański, rodem z Rosji, David Dallin, autor książek „The Real Soviet Russia", „The Rise of Russia in Asia" i „Soviet Russia and the Far East", ogłosił obecnie nową pracę pt. „The New Soviet Empire", opisującą charakter i strukturę olbrzymich obszarów, rządzonych despotycznie z Kremla (Hollis and Carter, c. 18/-).

O Christopherze Fry. Najgłośniejszy z młodszych dramaturgów angielskich Christopher Fry doczekał się już studium krytycznego w postaci książki D. Stanforda „Christopher Fry: an Appreciation" (Peter Nevill, cena 12/6).

Ostatnia sztuka Ch. Fry „A Sleep of Prisoners", grana obecnie w Londynie w St. Thomas Church, wydana została drukiem w Oxfordzie. (Cena 6/-).

O świętych. W domu wydawniczym Al Michela p. Louis Lavelle ogłosił studium o czterech świętych: o Franciszku z Asyżu, o Pawle od Krzyża, o Teresie z Avila i o Franciszku de Sales, „uroczym świętym, najbardziej francuskim ze świętych; umiał on urzeczywistnić stopienie miłości z wolą". P. Louis Lavelle wiele miejsca poświęca definicji świętości, przy czym powiada, że „świętość jest niczym innym, jak nawróconą namiętnością".

Janusz Jasieńczyk: WALTER 7.65. Powieść. Gryf Publication Ltd. London 1951. Stron 238. Okładkę projektował Zygmunt Turkiewicz.

Powieść o bohaterach Polski Podziemnej.

„Portret Jezusa". Pod takim tytułem ukazała się we Francji książka słynnego przed stuleciem socjalisty, P. J. Proudhona. Są to, jak zapewnia wydawca, „teksty częściowo drukowane po raz pierwszy". Proudhon należy do najświetniejszych epistolografów 19 wieku. Niedawno wydano jego listy do żony.

„Obywatel świata", sztuka Wł. Bodnickiego o Byronie, czytana była w ramach imprezy krakowskiego oddziału Związku Literatów.

VARIA

Warto przypomnieć. Z powodu stopięćdziesięciolecia Ignacego Krasickiego warto przypomnieć, że —jak to podkreślił prof. Chrzanowski — Krasickiemu „zawdzięcza Polska pierwszą poważną i godną tego imienia encyklopedię powszechną w dwóch wielkich tomach „Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabetu ułożonych" (1781 r.)"; większość zamieszczonych w niej artykułów „wyszła spod pióra samego Krasickiego."

Piękne określenie. Anonimowy essaysta, omawiający w Timesowskim „Literary Supplement" (no 2582) twórczość Forstera, powiada, że ten świetny powieściopisarz, aczkolwiek niepospolicie inteligentny, zdobywa uznanie czytelników „nie pięknością swego myślenia, ale pięknem prostoty swego serca." E. M. Forster, autor „A Passage to India", należy do pisarzy nie płodnych. Napisał niewiele, przy czym pierwsze wydanie wyżej wymienionej powieści ukazało się w 1924 r. Uchodzi za liberała, przez to w jego pracach brak silnych akcentów radykalnych. Ponieważ „wszystko rozumie", więc dla wszystkich postaw życiowych w konfliktach społecznych jest (jak w przysłowiu francuskim) „wyrozumiały". Atmosferą jego powieści jest łagodność, można by nawet powiedzieć — mglistość. Do pewnego stopnia przypomina naszego Szaniawskiego, który również nie umie wyjść wyraźnie z zadrażnień dramatycznych. Mówimy tu, oczywiście, o Jerzym Szaniawskim, dramaturgu, autorze „Fortepianu", „Mostu", nie o jego krewnym, Klemensie Junoszy Szaniawskim, noweliście i powieściopisarzu ,autorze „Kaltkugla".

Podobno Swift. Coraz częściej na łamach londyńskiej prasy literackiej spotyka się cytownie Swifta. Jeden z krytyków, opisując książkę Mrs Kosh Starkman pt. „Swift's Satire on Learning in ‚A Table of a Tub' ", powiada, że „zainteresowanie Swiftem nigdy nie było większe, niż obecnie", i przypomina wydawcom, że należałoby rzucić na rynek księgarski olśniewające, ale od dawna wyczerpane studium prof. Qiuntana pt. „The Mind and the Art o Jonathan Swift".

Nieznajomość historii. A może kretynizm? A może po prostu... kremlizm? W 74 numerze tygodnika (chyba rosyjskiego!) ale drukowanego po polsku we Francji, a noszącego tytuł „Polska i świat", czytamy artykuł wstępny „radzieckopokojowy". A to z powodu tak zwanego „Zlotu Pokoju", na którego afiszu jest, oczywiście, pikantnie pikassowski gołąbek. „Przepis na pokój jest prosty" — mówi redakcja „Polski i świata" — „i na afiszu oglądamy 5 sztandarów: francuski, radziecki, brytyjski, chiński i amerykański. Bowiem hasłem zlotu jest żądanie podpisania paktu pokoju między pięcioma mocarstwami, które w ciągu tragicznej wojny lat 1939 — 45 sprzymierzyły się, by obalić zbrodnicze przymierze hitlerowców, faszystów i imperialistów japońskich." Redakcja „Polski i świata" zapomina, że w roku 1939 i w latach 1940 i 1941 do 22 czerwca Rosja radziecka, stalinowska, mołotowska była w zmowie i przyjaźni z Niemcami, Hitlerem, Goeringem, Ribbentropem, przeciw Polsce, Francji i Anglii. Dopiero gdy Hitler, zaprzyjaźniony ze Stalinem, znudził się tą serdecznością i nagle uderzył na armię czerwoną, Stalin przestał posyłać zboże i naftę do Niemiec. Do czerwca r. 1941 Stalin trzymał w więzieniu gen. Andersa i setki tysięcy Polaków. Dopiero gdy niemiecki opryszek rzucił się na państwo rosyjskiego bandyty, Stalin, „rozkochany w wolności", wypuścił z więzień i katorgi tych Polaków, których nie zdążył jeszcze wymordować. A teraz przez swoich agentów urządza, między innymi we Francji, „zlot pokoju". Redaktor „Polski i świata" powinien wiedzieć, że wszelkie zloty, organizowane przez państwo bolszewickie, prowadzą do pokoju „katyńskiego"! A jest to, zaiste, pokój — wieczny! Ale może redaktor „Polski i świata" nie jest Polakiem? Może jest tylko pełniącym obowiązki Polaka, tak zwanym „popem"?

D.D.T.

KIEŁBASY

Największy wybór kiełbas francusko-polskich, czeskich i holenderskich

SPRZEDAŻ HURTOWA

Przy zamówieniach od 14 lbs. osobom prywatnym liczymy ceny hurtowe.

Zapraszamy PP. hurtowników, kirowników hosteli, klubów itp. a także osoby prywatne do od wiedzenia naszych składów lub żądania cenników.

ROYES (Brighton) Ltd., London Depot

12, CREMORNE ROAD LONDON, S.W. 10 tel. FLA 2301.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

DUKE OF EDINBURGH O POSTĘPIE NAUKOWYM I TECHNICZNYM

Na dorocznym posiedzeniu British Association w Edynburgu Duke of Edinburgh, mąż księżniczki Elżbiety, wygłosił przemówienie, które wywołało duże echo na łamach prasy. Przyszły przypuszczalny „Prince Consort", zrobiwszy przegląd osiągnięć brytyjskich w dziedzinie nauki i techniki od czasu poprzedniej wielkiej wystawy w r. 1851, mówił o dalszych w tej dziedzinie widokach. Były — podkreślił — trzy fazy w rozwoju techniki, która zrewolucjonizowała nasz sposób życia w ciągu ubiegłych dwóch stuleci. Pierwsza faza to nauka czysta, ustalająca fakty, jakie zachodzą w przyrodzie. Następuje faza druga: wynalazków naukowych, mających na celu rozwiązanie takich czy innych zagadnień praktycznych. Faza trzecia — to przedsiębiorczość, która uprzystępnia wyniki wiedzy i wynalazki coraz to bardziej rosnącej liczbie odbiorców. Zdaniem mówcy Brytyjczycy są doskonali w pierwszej i drugiej fazie, słabsi w trzeciej; za dużo czasu mija między wynalazkami a ich uprzystępnieniem i spopularyzowaniem. Stąd pochodzi, że wiele świetnych wynalazków brytyjskich wyzyskiwanych jest najpierw przez inne narody, zwykle przez Amerykanów i Niemców.

Wnioski są jasne; trzeba skrócić ten przedział czasu między drugą a trzecią fazą rozwoju technicznego. Cała pozycja Wielkiej Brytanii w świecie jest od tego w znacznej mierze zależna. Nawiązując do tego stwierdzenia publicysta „Sunday Timesa" Scrutator radzi, by brytyjskie przedsiębiorstwa przemysłowe, wzorem niemieckich, zatrudniały u siebie uczonych (zwłaszcza chemików) i powierzały im czasem stanowiska dyrektorów.

„Observer" wyraża przypuszczenie, że mowa księcia Edynburga nie została napisana przez niego samego, nie ulega jednak wątpliwości, iż żywo interesuje się on postępem nauki i techniki i w tym zakresie przypomina „księcia małżonka" królowej Wiktorii, Alberta. Od tego czasu nie było wśród monarchów W. Brytanii ludzi o takich zainteresowaniach intelektualnych. Kiedy w r. 1926 ówczesny Książę Walii miał wygłosić przemówienie powitanie w „British Association", jego ojciec Jerzy V ostrzegał go tymi słowami: „Twoi słuchacze stanowić będą zbiór najtęższych mózgów w tym kraju. Ostatnim członkiem naszej rodziny, który czuł się powołany do wypełnienia tej roli, był twój pradziadek, książę małżonek; był on intelektualistą. Ludzie ci prosili mnie raz bym do nich przemówił, ale odmówiłem."

DRAMAT I OPERA W TELEWIZJI

Jedna z najlepszych sztuk Shawa „The Doktor's Dilemma" ukazała się w programie telewizyjnym B.B.C. w dniach 22 i 26 lipca, spotykają się z pochwalnymi recenzjami.

Podobnym sukcesem była transmisja telewizyjna „Cost fan tutte" z przedstawienia operowego w Glyndebourne.

MALARSTWO ABSTRAKCYJNE W ANGLII

W galerii Gimpel Fils (50, South Molton Street) odbywa się wystawa, ilustrująca rozwój malarstwa abstrakcyjnego w Anglii. Za czołowych przedstawicieli tego typu malarstwa uważani są William Gear, Peter Lanyon i W. Barns-Graham.

Z TEATRÓW LONDYŃSKICH

Od kilku już tygodni niesłabnącym powodzeniem cieszą się przedstawienia dwóch sztuk, związanych ze sobą tematem ale odległych jeśli chodzi o czas napisania: „Antoniusza i Kleopatry" Szekspira oraz „Cezara i Kleopatry" Shawa. Sztuki te grane są na przemian w londyńskim St. James's Theatre. Główne role grają: znakomita artystka Vivien Leigh i jej mąż Laurence Olivier.

Szekspir i Shaw dominują w ogóle w repertuarach teatrów londyńskich w okresie Festivalu. W Phoenix Theatre grają John Gielgud, Diana Wynyard i Flora Robson w szekspirowskiej „Opowieści zimowej". Dnia 27 sierpnia zespół ten udaje się na tydzień do Edynburga, ale wznawia przedstawienia w londyńskim Phoenix Theatre w dniu 3 września.

W „Open Air Theatre" w Regent's Parku grany jest obecnie „Sen nocy letniej".

W Princes Theatre Kay Hammond i John Clements występują w „Man and Superman" Shawa.

CZWARTY TOM PAMIĘTNIKÓW WOJENNYCH CHURCHILLA p. t. „The Hinge of Fate" („Zawias losu") pojawił się w księgarniach w pierwszych dniach sierpnia. Tom ten obejmuje okres od upadku Singapore aż do przygotowania planu inwazji Włoch, a więc od stycznia 1942 r. do maja 1943 r. Cena 25/-.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 26 sierpnia 1951.

KATOLICKA EMIGRACJA

WRAŻENIA Z „WEEK-ENDU" DYSKUSYJNEGO „VERITASU" POD TYTUŁEM: „APOSTOLSTWO ŚWIECKICH NA EMIGRACJI"

W dniach 14 i 15 lipca br. odbył się dwunasty „week-end dyskusyjny Veritasu". Tematem było „apostolstwo świeckich na emigracji".

Tym razem chodziło organizatorom o to, aby przez referaty i w ogniu dyskusji uwydatnić cechy charakterystyczne, odróżniające pracę w Kościele — dla Boga, wykonywaną przez Polaków poza granicami Kraju, od analogicznego wysiłku dokonywanego przez Polaków w Polsce.

Chodzi o to, by sięgać poza powierzchowne różnice wynikające z używania np. poczty angielskiej i używania napisu „printed matter" zamiast „druk", czy temu podobne — zastanawiano się nad właściwym miejscem emigracji w strukturze Kościoła wojującego, podstawowej społeczności każdego katolika. Głównie dwa referaty (Ks. dr M. Wojciechowski: „Emigracja w świetle nauki o Ciele Mistycznym"; Ks. T. Kirschke: „Problem apostolstwa specjalnego wśród emigrantów") naświetlały istotę i strukturę Kościoła oraz nakreślały wpływ różnic narodowych i kulturalnych na sens istnienia, zadania i metody działania wielorakich członów jednego Ciała Mistycznego.

W świetle tych rozważań podstawowych starano się spojrzeć na działalność różnych organizacji katolickich na emigracji, ujrzeć ich specjalne cechy i przedyskutować zadania, jakie stoją przed nimi.

* * *

„Apostolstwo świeckich na emigracji" —

Szybki rzut oka na tytuł zebrania narzuca asocjacje z akademiami patriotycznymi, z jakimś traktem propagandowym a może szeptem, że u Dakowskiego nastąpiło porozumienie; jakby zza węgła wychyla się kwestarz patriotyczny z puszką. Czytając te słowa westchnie ten i ów, że lepiej by zrobiono coś konkretnego zamiast gadać czy pisać o rozmowach na te beznadziejne tematy; tyle biedy, tyle rozerwanych rodzin, młodzieży chodzącej samopas — roboty huk, a ci gadają. Jeśli się jeszcze zwą czynnymi katolikami, to niech się pomodlą, by móc szybciej wrócić do Kraju, aby mąż dostał lepszą pracę. Pomiędzy żarnami hitleryzmu bolszewizmu i tzw. świata zachodniego miele się ludzi na drogach tułaczki, w koncentracyjnych obozach, w morderczych walkach, w cichych dramatach umeblowanych pokoi na przedmieściach londyńskich; cóż na to pomoże gadanie tych miłych, to znów denerwujących lub zabawnych katolików, którzy i tak trybów młyna nie zatrzymają. Jeśli już tak bardzo chcą coś zrobić, niech otrą tu i ówdzie jakąś łzę, niech pomogą tam, gdzie czek czy rozporządzenie nie starczą, by pomóc człowiekowi. Przecież wszystko to dopust Boży, więc trzeba się pogodzić.

A właśnie dopust Boży. Cóż to jest dopust Boży? Jakieś potężne a w swych skutkach przykre zrządzenie, któremu trudno się przeciwstawić. Trzeba je pokornie przyjąć. To prawda, ale jakżeż niekompletna. Boć skoro dopust jest Boży a dotyczy nas, to warto spojrzeć nań nie tylko z naszego punktu widzenia, ale i z Bożego też.

Jak długo tkwimy w chwaście faktów i zdarzeń i rejestrujemy lub przeżywamy krzywdę, jaką nam t. zw. los wyrządza, tak długo jesteśmy właściwie ślepi na to, co nazywamy dopustem Bożym. Jeśli jednak spojrzymy nie od strony naszego egocentrycznego podejścia lecz z Matką naszą Kościołem postaramy się umiejscowić skutki dopustu Bożego na tle wielkiej panoramy Boga i Jego stworzenia, to spod obrazu bitew, ubogich, emigranckich mieszkanek, tragedii rodzinnych — wyjrzy prawdopodobnie jasna i prosta treść: z żywej materii organizmu została wyrwana jego część i przeniesiona w inne miejsce tegoż organizmu żyjącego zasadniczo tym samym a jednak trochę różnym życiem. Organizm, to Kościół, a chirurgiem jest Pan Bóg, dokonywujący operacji, dopuszczając najczęściej takie czy inne działanie ludzi. Tak tedy istotą tego dopustu Bożego jest przeszczepienie żywej tkanki w Ciele Mistycznym Chrystusa.

Postarajmy się przeto spojrzeć na problem naszej emigracji także i od tej strony.

Przyjrzyjmy się, gwoli jasności, jakiejś konkretnej grupie polskiej na emigracji, choćby Polakom w Wielkiej Brytanii. Stykają się oni stale z życiem brytyjskim, interesują się państwem opiekuńczym, racją mięsa, wyścigami piesków, darmowym dentystą, zawodami sportowymi. Niektórzy studiują życie angielskie, starają się czegoś nauczyć obserwując politykę tutejszych stronnictw. Wreszcie bywają u Anglików, wchodzą do rodzin angielskich, ocierają się o życie angielskie w wielu codziennych sprawach w pracy, na ulicy.

Jeśli jednak zadamy sobie pytanie, co się naprawdę tu dzieje, jeśli spojrzymy na to z punktu widzenia Kościoła, to dojrzymy proces nawracania Anglików na wiarę katolicką. Społeczność katolicka angielska rośnie w tempie, którego nie wytłumaczy przyrost naturalny, kościoły katolickie mnożą się, książek i pism katolickich zjawia się coraz to więcej, katolicy zyskują coraz to więcej głosu i znaczenia.

I gdy nie jest wcale obowiązkiem Polaków, przebywających w Anglii, by udawali się na stadiony, gdzie numerowane charty szybko przebiegają wyznaczone odcinki, lub jest właściwie obojętne, czy człek będzie się interesował jakąś jedną czy drugą partią polityczną, to pozytywny, czynny stosunek Polaka-katolika wobec nawracania Anglii nie może być kwestią upodobania czy nastroju, jest wyciągnięciem wniosku z faktu, że jesteśmy członkami Kościoła i że dopust Boży sprawił, że znaleźliśmy się właśnie tutaj a nie gdzieindziej.

Byłoby jednak niebywałym uproszczeniem redukować życie katolicyzmu angielskiego do nawracania na katolicyzm niekatolickiej części społeczeństwa. Życie religijne katolików angielskich ma też swoje problemy, w których rozwiązaniu może pomóc obecność katolików polskich — pomyślmy tylko o dyskrecji i suchości angielskich nabożeństw, na które tu i ówdzie Anglicy zaczynają patrzeć krytycznie pod wpływem spontanicznej żywości nabożeństw polskich. Często słyszy się od księży polskich, spowiadających czasami Anglików, jak wdzięczni są miejscowi penitenci za naukę po spowiedzi.

Wpływ ten jest obopólny i nie tylko Anglicy mają okazje zobaczenia swego życia katolickiego w zwierciedla polskim, ale i Polacy podobnie mogą się przyjrzeć głębszemu nurtowi życia liturgią Kościoła, wysiłkowi, mającemu na celu zrozumienie prawd wiary, rozumienie potrzeby prasy i książki katolickiej, konsekwentnemu staniu przy hierarchii kościelnej, którymi to cechami niewątpliwie odznacza się życie katolickie naszych gospodarzy.

Zestawienie tych cech z polskim sposobem podchodzenia do katolicyzmu nie tylko miałoby na celu krytykowanie nas i ględzenie, że w Polsce i w polskiej postawie religijnej wszystko należy poprawić i wzorować na innych. Może po prostu jaśniej spojrzymy na nasz styl życia religijnego i dojrzymy, że poza obyczajem narodowym łamania się opłatkiem kryje się stara tradycja głębokiego życia liturgicznego że kult Matki Bożej, koncentrujący się w adwencie i okresie przed Matką Boską Gromniczną, tak bardzo rozumiał głęboki sens mariologii, że wreszcie nasze stare kolendy pełne są głęboko przeżytej myśli teologicznej. I tak korygowanie usterek pójdzie może w parze z odkrywaniem żywej treści pod powłoką automatyzmu obyczajowego.

Porównanie emigracji ze szczepieniem jest dość kulawe, ponieważ pozostawia na uboczu ważny fakt: cel naszej emigracji. Jakkolwiek niezbadane są drogi, na jakich znajdziemy się jeszcze i możliwość zrealizowania naszych zamierzeń nie jest wcale pewnością, to jednak nastawienie na powrót zasadnicze nadaje piętno naszej emigracji i definiuje jej charakter.

Trudno jest spekulować na temat, co zastaniemy w Kraju po powrocie. Już teraz odczuwamy, iż trudno nam chwilami zrozumieć, co się tam dzieje, jak ludzie myślą w Polsce, jak daleko zaszły zmiany gospodarcze, społeczne, polityczne, jaki wpływ wywarły na ogół. Wydaje się wszakże dość pewnym, że staniemy w obliczu dwu skutków okupacji komunistycznej w Polsce: zachwiania wiary u wielu jednostek oraz skutków metodycznego wprowadzenie w życie zwartej doktryny. Dużą ilość Polaków trzeba będzie prawdopodobnie nawracać i tutaj ogromnie przydadzą się katolicyzmowi polskiemu doświadczenia zdobyte przez obserwacje wysiłku Anglików i współdziałanie z nimi w dziele nawracania Anglii. Zamiast myśli marksistowskiej trzeba będzie podawać pełnymi garściami zdrową myśl wraz z jej implikacjami w życiu. Nie starczy bowiem porządnie wyłożyć teologię ale także trzeba będzie naświetlić z jej punktu widzenia problem pracy, stosunków międzyludzkich, wolności posiadania — otwierając tym samym drogę doktrynie do wszystkich zakątków życia, by mogła je ożywić i uleczyć. Oczywiście nie znaczy to, iż należy poniechać prób wyobrażenia sobie, co się w Kraju dzieje. Całkiem przeciwnie, to jest również naszym obowiązkiem z tym, że właściwe nastawienie nasze wobec rzeczywistości polskiej to nie ogólnikowe potępianie wraz z marksizmem i jego stosunków, lecz krytyka marksizmu i próba pełnego zrozumienia przemian przezeń wyłonionych.

Czyż jednak zetknięcie się ludzi, którzy starali się żyć po katolicku w okupowanej Polsce, wśród społeczeństw zachodnich lub gdzieś w Afryce lub Australii nie przyniesie zmiany naszego podejścia do katolicyzmu? Czyż będzie się w stanie ostać życie katolickie, nie szukające zasadniczych rozwiązań a godzące się z siłą bezwładności zlaicyzowanego obyczaju, czy pozostaną w ramach katolickiej społeczności polskiej wewnętrzne podziały na warstwy społeczne, niewiele wiedzące o sobie i nierozumiejące się, czyż zadowolimy się powierzchownością naszego życia rytmem Kościoła?

Gdy przeto spojrzymy na grupkę Polaków, rozrzuconą pozornie bezwładnie po świecie, to wszelakie dążenia, mające na celu zaspokojenie naszych potrzeb materialnych i przetrwania biologicznego wydadzą się nam tylko drobną częścią wysiłku i podstawą do wykonania właściwego zadania, bez czego nasz pobyt na emigracji wyda się nam pozbawionym głębszego sensu a powrót do Kraju pustym.

Z. Szabłowski

PO ŁEPKACH

POŚPIECH KULTURY

Prymitywizm nie jest wrogiem kultury, lecz przeciwnie jej najlepszym odbiorcą. Wrogiem natomiast kultury jest sytość. Prymitywizm wpatrzony jest w kulturę jak w tęczę, sytość nie może na kulturę patrzeć. Przyszłość należy do narodów łaknących kultury, a nie do znudzonych nią. Głód kultury jest cenniejszym skarbem, niż cywilizacyjne obżarstwo.

Czerwiem śmiertelnie toczącym współczesną kulturę jest pośpiech. Wielki teoretyk kultury, Feliks Koneczny, sformułował kiedyś tezę o „chyżości kulturalnej" narodów. Polega ona na szybkim akomodowaniu dóbr cywilizacyjnych i wysokim stopniu kulturalnej pojętności, dzięki którym narody zjawiające się późno na arenie poszczególnych cywilizacji, wyrównują szeregi z narodami przodującymi w czasie znacznie krótszym, niż one. Jest to zjawisko o perspektywach stuleci, lub conajmniej pokoleń. „Chyżość kulturalna" nie ma nic wspólnego z pośpiechem aktualnym kultury.

W świecie współczesnym żyje niezmiernie mało jednostek, które zdolne są postępować krok w krok z rozwojem kultury. O całkowitym objęciu horyzontów nauki, sztuki i wytwórczości ludzkiej przez żywego człowieka od dawna nie ma mowy. Ale nawet ograniczając widnokrąg do zagadnień wyłącznie humanistycznych, nie znajdziemy wiele jednostek, które by choć powierzchownie były zorientowane w powszechnej twórczości kulturalnej. Można nawet uznać za pewnik, że nie ma w dzisiejszym świecie człowieka, który by posiadał dar pojmowania i rozumienia wszystkich nauk i sztuk humanistycznych i który by przy tym choć powierzchownie był obeznany z twórczością w tych dziedzinach wszystkich narodów świata. Encyklopedyści francuscy podjęli ostatni wysiłek w obronie umysłu człowieka. Jest to zarazem świadectwo jego bezgranicznej nieporadności.

Kiedyś było zupełnie inaczej. Filozofowie greccy, a nawet i wielcy pisarze, szczególnie dramaturgowie, uchodzili za wszystkowiedzących. Jeśli nie ogarniali wiedzy dalekich ludów, to tylko dlatego, że nie tylko z nimi nie mieli żadnej styczności, ale nawet nie podejrzewali ich istnienia. Cóż Grek lub Rzymianin mógł wiedzieć o kulturze chińskiej, skoro świat starożytny kończył się na rzekach Oxus i Jaxartes, czyli dzisiejszych Amu i Szyr Darii?

Lecz pocóż sięgać do czasów tak odległych? Przecież jeszcze wiek temu ludzkość żyła duchowo o wiele powolniej. O owych czasach, w czasach powiedzmy przedpozytywistycznych, kiedy to znów myśl ludzka podjęła samobójczą ruchliwość, książka wyprzedzała, urozmaicała i odkrywała życie. Książka była przeżyciem. Dziś życie jest szybsze od książek. Książka jest za naszych czasów powtórką życia. Dziś życie odrywa człowieka od książki, kiedyś książka odrywała go od życia.

Spójrzmy na lekturę naszych wielkich romantyków! Słowacki miał ambicję, aby codzień przeczytać jedną książkę, choćby najmniejszą. Ale jakież to były książki? Ówczesne romanse, dramaty i zbiory wierszy liczyły często po kilkanaście stroniczek. „Dziadów część trzecia" stanowiła osobną pozycję, „Grażyna — powieść litewska" była tęgim tomikiem „Anhelli" czy „Przedświt" stanowiły wydarzenia wydawnicze. Niewielkiej objętości były też cudzoziemskie romanse i tomiki poetyckie, które wówczas były głównymi pozycjami księgarskimi.

Dziś na głowę człowieka wali się codziennie lawina książek, a przecież nie można zapominać i o dorobku historycznym. Wiek XVII i XVIII nie nazbyt wiele pozostawiły romantykom obowiązkowej lektury, podczas kiedy wiek XIX i półwiecze XX pozostawiły nam ogromne biblioteki, bez których trudno mówić o współczesnej kulturze. Sztuka pisarska tak bardzo rozkwitła w naszej dobie, że każdy dzień przynosi spore biblioteki. A przecież rzecz się nie kończy na książkach. Gdzież teatr, gdzie muzyka, gdzie plastyka, gdzie radio, gdzie zagadnienia teologiczne, filozoficzne, kulturowe, polityczne? To są wszystko elementy kultury, które wezbrały dziś do rozmiarów potopu. Człowiek stał się bezbronny wobec kultury. Biada mu, jeśli usiłuje ze swej arki dziedzicznej rzucić się w fale potopu.

Jeśli rozwój kultur narodowych będzie trwał w takim oszałamiającym tempie, jakiego świadkami jesteśmy, dojdzie niebawem do pomieszania języków. Ludzie przestaną się wzajemnie rozumieć. Poza tym gonitwa za „owocami dobrego i złego" we współczesnych cywilizacjach zabija twórczość. Człowiek nie śmie podejmować twórczego trudu w obawie, że będzie powtarzał prawdy dawno odkryte albo wręcz dlatego, że nie ma czasu na kontemplację.

Poprzez tragizm kulturalny nowoczesnego człowieka łatwo dostrzec mądrość dawnych wieków, a zwłaszcza kultury chrześcijańskiej. Ideałem życia kulturalnie twórczego były i są klasztory, względnie formy zbliżające człowieka do życia klasztornego. Ośmieszanie „partykularzy" i „prowincji" dowodzi braku zmysłu kultury. Lekarstwem bowiem, które może ją uleczyć, jest odcięcie się od „wielkiego świata" i powrót do zacisznej kontemplacji. Największe dzieła czy też — aby być sprawiedliwym — lwia ich część powstały w partykularzach i na prowincjach.

Zbawienie kultury leży na prowincji.

J. B.

Z KRAJU

POGRZEB KARDYNAŁA SAPIEHY

Wieść o śmierci Kardynała, która nastąpiła w poniedziałek o godz. 7.15, lotem błyskawicy rozniosła się po Krakowie. Już około południa gromadki ludzi zaczęły się zbierać przed pałacem, zapytując o prawdziwość wieści. Tego dnia prof. Olbrycht dokonał zabalsamowania zwłok, które następnie przeniesiono do kaplicy i umieszczono na katafalku.

We wtorek o godz. 6 rano w kaplicy zebrali się przedstawiciele duchowieństwa świeckiego, przedstawiciele zakonów, rodzina i najbliżsi współpracownicy Zmarłego. W pół godziny potem ks. biskup Rospond rozpoczął cichą Mszę św. żałobną, po czym nastąpiło wyprowadzenie zwłok do bazyliki oo. franciszkanów. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. arcybiskup Baziak w asyście ks. biskupa Rosponda, kanoników Kapituły Katedralnej i przedstawicieli duchowieństwa krakowskiego.

Pomimo dnia powszedniego i rannej pory, przy ul. Franciszkańskiej zgromadził się duży tłum, wśród którego w wielu miejscach rozległy się głośne szlochania.

W kaplicy franciszkańskiej ks. arcybiskup Baziak odprawił Mszę św. Zwłoki umieszczone zostały na katafalku i wystawione na widok publiczny przez dwa i pół dnia. Przez cały wtorek, środę i w czwartek do godziny 15 tłumy wiernych odwiedzały bazylikę, aby pożegnać swego Arcypasterza i pomodlić się u jego trumny. W tym czasie nie było prawie chwili, by do bazyliki można było wejść bez czekania w kolejce.

Przeniesienie zwłok na Wawel nastąpiło w czwartek 26 lipca o godz. 6 po południu poprzez ulice: Bracką, Rynek i Grodzką. Procesję żałobną otwierał krzyż, za którym postępowały delegacje niosące przeszło 100 wieńcy od poszczególnych instytucji i parafii. Pierwszy wieniec z napisem „Rodzina sieroca — Arcypasterzowi", nieśli mali chłopcy, wychowankowie zakładów dla sierot. Inne wieńce pochodziły m. in. od: uczenic gimnazjum ss. urszulanek, katolickich studentów U.J., katolickich studentów Uniwersytetu Łódzkiego, konsula Republiki Francuskiej, dorożkarzy krakowskich, pracowników Ogrodu Botanicznego wszystkich parafii krakowskich, Żywego Różańca Dziewcząt, Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej itd. Niektóre delegacje wystąpiły w strojach narodowych, jak na przykład górale i kobiety z Żywca.

Następnie szły siostry zakonne: urszulanki, („czarne" i „szare"), albertynki, duchaczki, karmelitanki, szarytki, felicjanki, wizytki i inne, śpiewając „Dobry Jezu, a nasz Panie, Daj mu wieczne spoczywanie." Pieśń tę podchwycili wierni, którzy dotychczas zachowywali głęboką ciszę, i odtąd aż do końca uroczystości tego dnia śpiewali ją bez przerwy.

Za siostrami postępowali zakonnicy i zgromadzenia męskie, a za nimi duchowieństwo świeckie w komżach, ze wszystkich diecezji Polski. Duchowieństwo wypełniło przestrzeń od gmachu sądów przy ul. Grodzkiej aż do Rynku.

Z kolei szli prawie wszyscy księża biskupi Polski, a mianowicie: ks. prymas Polski St. Wyszyński; ks. bp Chormański; ks. bp Majewski; ks. bp Baraniak i ks. bp Niemira (Warszawa); ks. metropolita Jałbrzykowski (Białystok); ks. metropolita Baziak i ks. bp Rospond (Kraków); ks. bp Adamski, ks. bp Bieniek i ks. bp Bednorz (Katowice); ks. bp Barda i ks. bp Tomaka (Przemyśl); ks. bp Stepa i ks. bp Pekala (Tarnów); ks. bp Kowalski i ks. bp Czapliński (Pelplin); ks. bp Lorak i ks. bp Job (Sandomierz) ks. bp Zakrzewski i ks. bp Dudziec (Płock); ks. bp Świrski i ks. bp Jankowski (Siedlce); ks. bp Klepacz (Łódź); ks. bp Falkowski (Łomż); ks. bp Kałwa (Lublin); ks. bp Goliński i ks. bp Czajka (Częstochowa); ks. bp Sonik (Kielce); ks. bp Korszyński (Włocławek); ks. bp Jedwabski (Poznań); nadto administrator apostolski ks. Krzywicki (Drohiczyn) i wikariusze kapitulni. Reprezentowane były również: wydziały teologiczne U.J. i Uniwersytetu Warszawskiego, oraz wszystkie kapituły katedralne i kolegiackie w Polsce.

Kondukt pogrzebowy prowadził ks. prymas Wyszyński, mając po prawej ręce ks. arcybiskupa Jałbrzykowskiego, a po lewej ks. arcybiskupa Baziaka.

Trumna, okryta purpurą kardynalską, niesiona była przez cały czas na ramionach. Z kościoła wynieśli ją przedstawiciele duchowieństwa, aby na ulicy Brackiej oddać ją strażakom, którzy z kolei powierzyli trumnę młodzieży akademickiej. Od studentów przejęli ją na ramiona górnicy, później rzemieślnicy, a potem górale.

Za trumną pierwszy szedł przedstawiciel reżymu i dyrektor „urzędu do spraw wyznań", Antoni Bida, za nim rodzina Zmarłego, senat akademicki KUL-u z ks. rektorem Słomkowskim na czele, przedstawiciele „Tygodnika powszechnego", a wreszcie tłum wiernych.

Z chwilą zbliżania się konduktu do Wawelu, trębacz stojący nad bramą pożegnał dostojnego Zmarłego hejnałem, a równocześnie z wieży katedralnej odezwał się Zygmunt. Potężny głos spiżu obwieścił, że kraj nasz zubożał o wielkiego człowieka.

(Według „Tyg. Powsz.")

Konkurs na wspomnienie robotnicze ogłoszony w październiku ub.r. przez „Polskie Radio" i „Państwowy Instytut Wydawniczy", został obecnie rozstrzygnięty. Na konkurs wpłynęło 5.430 wspomnień, obejmujących swą tematyką okres od drugiej połowy zeszłego stulecia aż do czasów obecnych. W konkursie przyznano 21 nagród (od 2 tys. do 6 tys. zł) i 21 wyróżnień (po 500 zł).

W Lachmirowicach nad Gopłem znaleziono w czasie robót polnych grób całopalny z drugiego wieku po Chr. Przeprowadzone na zlecenie Urzędu Konserwatorskigo badania doprowadziły do odkrycia 14 grobów jamowych i popielnicowych, a w nich licznych zabytków archeologicznych, złaszcza ceramiki.

Adam Kopyciński został dyrektorem Opery Dolnośląskiej we Wrocławiu, na miejsce zmarłego niedawno Jerzego Gardy.

„Reineke Fuchs" ukazał się nakładem Państw. Instytutu Wydawniczego w ilości 10.000 egz., w znakomitym przekładzie poetyckim Leopolda Staffa. Posłowie napisał Artur Maria Swinarski.

Biblioteka Narodowa **„Ossolineum"** zapowiedziała następujące nowe wydawnictwa: „Antologia bajki polskiej" (opr. Jul. Krzyżanowski); „Diogenes w kontuszu" Berenta (opr. prof. T. Mikulski); „Najstarsza poezja polsko-łacińska" (opr. prof. M. Plezi); „Wybór pism" Arystotelesa (opr. prof. M. Plezi); ponadto dzieła Fr. Karpińskiego, Klonowicza, Piramowicza, Kołłątaja i in.

KURS WAKACYJNY DLA MŁODZIEŻY

Komitet Opieki nad młodzieżą szkolną w Londynie organizuje w okresie wakacji krótki kurs, który będzie trwał od 29 sierpnia do 7 września włącznie. Stosownie do życzenia słuchaczów kurs jest dłuższy od poprzednich, będzie trwał 9 dni, opłata wynosi 15/- od osoby.

Program kursu obejmuje „Czasy zygmuntowskie". Historię wykłada prof. dr H. Paszkiewicz. Literaturę — dr L. Pobóg Kielanowski. Historię sztuki (z przeźroczami) — dr K. Lanckorońska.

Wykłady odbywać się będą w sali odczytowej 51, Eaton Place, S. W. 1. w godzinach 10.30 do 12.30. W przerwie drugie śniadanie.

Zapisy **pisemne** wraz z opłatą należy kierować na adres Komitetu Opieki nad Młodzieżą Szkolną, Polish Research Centre, 51. Eaton Place, S. W. 1.

PAMIĘTAJ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji. Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed" (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — **2 pesos, kwartalnie 26 pesos,** półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo: „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., **kwartalnie 7.00 DM.** Przedstawicielstwo mają: „Informacja Prasowa". (23) Quakenbrück, Schiphorst 2. 1) Księgarnia „Wiedza", Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. **Przedstawicielstwo:** P. K. S. U. Veritas. Section Suisse. Case Postale 19, Fribourg 2 — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c, Lund, Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 3 dol. Przedstawicielstwo: 1) Antoni Stojanowski, 10. East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue Deroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734